



ROK LIX

Nr 42

PIŚMIENIOWY GODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 16 PAŹDZIERNIKA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Fala życia, a twierdze urzędów—*N. Samotychowa*. W sprawie opieki nad ociemniałymi—*H. C.* Praca domowa ucznia—*T. Męczkowska*. Najnowsze książki kobiece w Paryżu—*Dr. M. Kasterska*. Wiersze: „Obiad”, „Krasnoludkowe dziecko” i „O panu Twardowskim”—*Marja Niklewiczowa*. „Młodzieniec” (nowela) c. d. — *Zygmunt Kisielewski*. Królowa plaży—*Cecylja Walewska*. Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości) c. d. — *P. Mantegazza*—autor. przekł. *T. Jakubowicza*. Zmierch Zuzanny Lenglen—*K. Muszałówna*. Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawiszanka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Suknia wyszywana krzyżykami. List z Paryża—*Sekwa*. Mieszkanie i jego kultura—*Z. de k.* Wystawa ogrodnicza w Poznaniu—*Wanda Dobrzyńska*. Na korcie tenisowym—*J. S.* Warunki opłacalności chowu drobiu—*H. B.* „Jaką kuchnię mieć bym chciała”—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy Kobiety annamickie”—*C. Chivas - Bazan* (tłum. *Dr. M. Kasterska*). Arkusz wzorów.

FALA ŻYCIA, A TWIERDZE URZĘDÓW



Przed laty — nie tak dawnymi — urząd rosyjski. W ratuszu — posłuchania u żandarmów. Posmak tych posłuchań, działających jak straszliwa narkoza, jak nagła choroba duszy i ciała. Przed laty — nie tak dawnymi — w sercu dzisiejszej stolicy panosząca się mroźna

Syberja i obywatel, czujący się we własnym kraju za ledwie tolerowanym przybyszem.

Urzędy, urzędy rosyjskie. Iluż poniżyło w nich swą godność ludzką i godność swego narodu. Do ilu gestów układnej i nadskakującej poddańczości łamały się tam ciała; ile uśmiechów niewolniczych i spojrzeń skwapliwej wdzięczności rzucały zestrachane oczy za okruczeństwo, za szmat nadziei. Jakże chwiejne i niepewne były kroki, stąpające po kolczastej i ruchomej, zda się, podłodze wśród ścian, pełnych dźwięku ostróg i tnących, krótkich rozkazów.

Sumienia harde malały w ugodzie do ziarnka piasku; impet protestu, owinięty w bawełnę tępoty, kierował lśniące swe ostrze w podziemia, by złobić w nich beznadziejnie długie przejścia na wolność.

Dziś. Dziś jesteśmy obywatelami wielkiego państwa. Jesteśmy u siebie — u siebie gospodarzami i rządcami. Jesteśmy tem szczęśliwi. Aczkolwiek bardzo rzadko to wielkie szczęście uświadamiemy sobie.

Przeciwnie, raczej jako malkontenci mówimy o zawiedzionych nadziejach i o tem, że w marzeniach naszą widzieliśmy Polskę wolną.

Jesteśmy ludźmi przełęcz, przejścia, przesmyku. Łączymy przeszłość z tem, co nadejdzie inne, nowe. Na tej przełęcz polskiej teraźniejszości znaleźli się, jako robotnicy dnia dzisiejszego wszyscy, kto żywy: dzieci ubiegłego stulecia i młode latorośle XX wieku. Nie stało się tak, iżby w pustkowiu, na twardych kamieniskach rozpoczynał dzieło zakładania fundamentów człowiek samotny, jak Hamsunowski bohater z Błogosławieństwa Ziemi. Buduje się Polskę w rojowisku, w tłumie, wśród gałęzi i korzeni przeszłości, wymagających karczowników o sile wielkoludów. Biegają po niej łowcy własnej wygody, rozumiejący, że w gmatwaninie rusztowań łatwo zwędzić dla siebie niejedną cegłę i niejednen fundament potrać, lub podważyć. Ojczyzna jest dla nich pojęciem obcym, nieznanem. Chodzi jedynie o umiejętnie urządzenie się w zmienionych warunkach. Tam pomagał rubel, — tu magicznie podziała złoty. A im bardziej „skorumpuje się” budowniczych — tem lepiej, gdyż odwlecze to wykończenie harmonijnego gmachu. Proste i czyste mury jego należy palić i chłodzić, by w ich szczelinach znalazły mieszkanie gniazda pasorzytów.

Obok tych korzystaczy ze sposobności przewala się przez Polskę tłum ludzi szarych, bez twarzy, ściszonych już za czasów żandarma na zawsze, bezwyrazo wych, bez temperamentu i bez idei, ludzi nijakich, życiowych gapiów, niedorozwiniętych ciekawskich, którym nie było źle pod batem moskiewskim, którzy zawsze i wszędzie potrafili się cicho i umiarkowanie urządzić, ludzi, utyskujących za minionem wczoraj, żyjących

NAJNOWSZE KSIĄŻKI KOBIECE W PARYŻU

W ostatniej swej powieści „La Goëland“ pani Jean Balde daje nam bardzo ciekawy typ matki o słabym sercu. Laura, młoda kobieta, piękna i pełna ładu kreolskiej nonszalancji, zaślubiła człowieka głęboko do niej przywiązanego, lecz z pozoru surowego i zamkniętego w sobie. Jako nawpół marynarz podróżuje on prawie ciągle, pozostawiając swą młodą żonę w Bordeaux, w towarzystwie swego młodszego brata Daniela. Dwoje samotników zapomina o całym świecie, ale zapomina i o bolesnych skutkach podobnego obłądzenia. Gdy rzeczywistość staje przed nimi, Daniel popełnia samobójstwo. Laura, zbyt słaba, aby zdobyć się na jakąkolwiek decyzję, poddaje się wpływowi starej sługi i ukrywa wszystko mężowi. Mały Michał, dziecko grzechu i nieszczęścia, chowa się na wsi, u rybaków. Matka, przywiązana do niego na swój sposób, płaci za niego regularnie i odwiedza go od czasu do czasu. Ale chłopiec rośnie, zaczyna rozumieć. Energiczna, prostolinijna natura Michała nie znosi owego, że się tak wyrażę, zawieszania pomiędzy niebem a ziemią. Ani panicz, ani rybak, zbyt inteligentny i zbyt wykształcony przez starego księdza, na dziecko ludu, zbyt mało fachowo wykształcony, aby mógł zarabiać na życie inaczej, niż pracą fizyczną.

Jeżeli matka umie używać tylko półśrodków, Michał ma wrodzony wstręt do niejasnych sytuacji i polowicznych rozstrzygnięć kwestyj. Duszą się w tej atmosferze tajemnic i ciągłych ostrożności, ale kocha swoją piękną, wykwintną matkę i dlatego zrazu trudno mu się zdobyć na jakiekolwiek postanowienie. Głuchy bój moralny toczy się między matką a synem, bój dwóch miłości, z których żadna nie rozumie drugiej. Aż wreszcie siedemnastoletni już Michał, wyczerpany bezcelowością tej walki, zrywa pęta i odchodzi. Będzie rybakiem, stworzy sobie skromną wiejską rodzinę, na zawsze wyrzekłszy się przeszłości i matki. Może to trochę bezlitośnie, ale młodość rzadko bywa pobłażliwa.

Pani Jean Balde, o której parę razy już pisałam w „Bluszczu“, dała nam tym razem powieść iuną od swych poprzednich książek odmienną, mniej wycienioną i wysubtelizowaną w szczegółach, ale bardziej mocną i barwną. Charaktery Laury i Michała są narysowane wyraziście, śmiałym rzutem artysty. Starożytny fatalizm zamieniła tu fatalna siła, tkwiąca w każdym człowieku i ścierająca się z przeciwnym jej duchem.

Coś z podobnego fatalizmu ma piękna Amiscia, bohaterka powieści pani Germaine Acremant „Saraczenka“. W górach Sabaudji, w maleńkich wioskach, czepiających się niby gniazda ptasie górskich szczytów, zachował się dotąd piękny typ saraceni. Bardzo ubodzy, Sabaudczycy, chętnie schodzą w doliny, niegdyś do ulubionych ich zajęć należało zajęcie kominarza.

Z takiej biednej wioski pochodzi piękna Amiscia, słynna artystka dramatyczna, później żona jednego z wielkich panów angielskich, porzucająca męża i dom, aby znowu powrócić na scenę. Jest w tej kobiecie demon spragniony życia gorączkowego, oklasków, wieńców, triumfów. Nie uspokoi go żadna moc, chyba kiedyś starość i niemoc. Amiscia będzie zawsze jego niewolnicą.

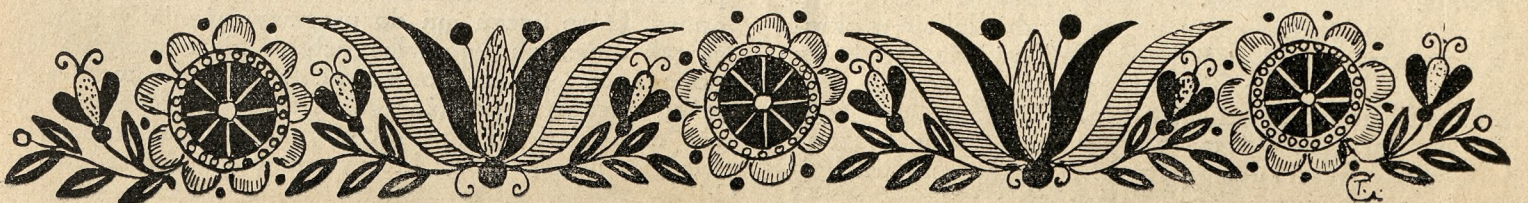
Kto lubi Sabaudję z jej dziką przyrodą i wspałem krajobrazami, z przyjemnością przeczyta tę książkę barwną i efektowną.

Ona słynnego poety Henryka de Régner, a córka niemniej sławnego poety José Maria Hérédia, pani Gérard d'Houville jest jednym z autorów ostatnio wydanej powieści „Michalina i miłość“, będącej dalszym ciągiem znanego „Romansu Czterech“. Chodzi tu o postawienie kobiety uczciwej i uczuciowej przed problemem małżeństwa bardzo „modern“, gdzie mąż, autor dramatyczny, mimo całej miłości dla żony sprzeniewierza jej się na każdym kroku. Michalina nie pojmuje łatwej pobłażliwości ani podziału. Przez chwilę myśli o zbrodni, ale uratuje ją nowy cel życia, może najwyższy dla kobiety: macierzyństwo.

Inaczej i humorystyczniej zapatruje się na świat i życie słynna niegdyś artystka-tancerka, „piękna Otero“, która ogłosiła obecnie swe pamiętniki, obfitujące w dość zabawne szczegóły. Dawna piękność nie jest ani złą, ani przewrotną, ale zwykła moralność kobieca obchodzi ją bardzo mało, stworzyła sobie swoją własną i możnaby powiedzieć o niej to, co słynna Ninon de Lenclos powiedziała niegdyś o pewnej kurtyzanie, „że jest jednym z najuczciwszych mężczyzn swojego wieku“.

Z innych powieści wymienić warto „Andazza“, lub „Ludzie z brązu“ pani Izabelli Sandy, ciekawy szkic z życia maleńkiej, a mało bardzo znanej republiki na południu Francji; „Maria, córka ludu“ Marceli Vioux—smutne dzieje młodej kobiety na usługach propagandy komunistycznej i doskonałą powieść na tle życia protestantów normandzkich, „Jarzmo“ pani Marion Gilbert. W powieści tej widzimy młodą dziewczynę, której życie złamał nieszczęśliwy wypadek, gdy była nawpół dzieckiem, noszącą najpierw jarzmo woli despotycznej matki, starej protestantki, nie znającej, ani litości, ani przebaczenia, a później jarzmo woli równie despotycznej siostry. Cicha, słodka Fanny przechodzi przez życie trwożnym, niezdecydowanym krokiem, zawsze samotna i zawsze bezradna wobec swego szczęścia i nieszczęścia. Naprawdę dwa razy spróbują ją oswobodzić kochające dłonie, Fanny cofa się przerażona i tak przywykła do swego jarzma, że nie umiałaby już żyć bez niego. Dużo ciekawych opisów życia prowincjonalnego w Normandji podnosi jeszcze oryginalny koloryt tej powieści.

Dr. M. Kastorska.





MARJA NIKLEWICZOWA.

Z CYKLU „Gniazdo“.

OBIAD

Andzia mówi, że od tego brzuszek boli,
jeżeli do kompotu dosypywać soli,
i nie chce pozwolić w żaden, żaden sposób,
żebym Kalfowi oddała swój rosół;
Chce, żebym jadła prędko, bo ma pilną robotę,
— Więc najlepiej niech mi obiad zostawią na potem!

KRASNOLUDKOWE DZIECKO

Jeździło po mojej ręce
w srebrnej sukience,
jeździło po mojem ramieniu,
popasało mi pod grzywką w cieniu,
jeździło po czole
jak po stole,
jeździło po nosie,
przewróciło się,
ale nic mu się nie stało, więc zaraz wstało
i razem z karetką pod kołdrę wjechało.

O PANU TWARDOWSKIM

Szumią świerki, jodły, śnieg topnieje w parku,
strasznie późna pora tyka nam w zegarku.
Djabeł lata, lata, Twardowskiego szuka...
W chmurze się zrobiła jasna złota dziurka,
odsłoniła księżyc i zamglone niebo:
czy, Wojteczku, widzisz pana Twardowskiego?

Pan Twardowski płacze, bo mu zmarzły ręce,
w sobie też mu zimno, a w nogi najwięcej.
Na księżycu siedzi, okrutnie się biedzi,
na księżycu jedzie: „wspomóż mnie w tej biedzie,
nie chcę biczów z piasku, nie chcę łopot - koni,
tylko chcę na ziemię, bo mi tęskno do niej!“

— Kiedyż mnie podniesiesz na rękach do nieba:
przecież Twardowskiego zdjęć z księżycy trzeba,
on taki biedny!



ZYG MUNT KISIELEWSKI

2

MŁODZIENIEC

(N o w e l a)

Wiśniewski poczuł, jak zniechęcenie czające się w ukryciu zaczyna się, niby liszaj, rozłazić po kościach. Z pod oka zerknął na Kościelec i wydało mu się, że surową, masywną powagą wierchu wzruszył uśmiech politowania. Rzekłbyś, że spogląda on porozumiewawczo na Świnicę i mruga urągliwie do swej wiekuiestej towarzyszki.

Po raz drugi ukłóło Wiśniewskiego w sercu. Zaklął głośno: — a niech cię djabli! — rzucił kije i jął odpinać narty, szarpiąc rzemienie i żując wyzwiska, zwrócone przeciwko rozluźnionym sprzączkom i zaciąsnym dziurkom.

— Jasiek! — zdejmuj narty! Maszerujemy pieszko. Kto mógł przewidzieć, że w grudniu i w Tatrach zabraknie śniegu.

— Dawno już myślałem, że lepiej byłoby bez nart — zaczął Sowa zadowolony, że sobie odetchnie.

— Nie myśl, tylko odpinać i wio! Życie nie jest mędrkowaniem, lecz wojną. Kształcisz się na inżyniera nie po to, aby filozofować, ale żeby panować nad materją i nad ludźmi.

— No, nie tylko po to, przesadzasz — oponował Sowa, lubiący rozważania:

— Jedyne po to. Życie jest zdobywaniem frontu, którego z całą zaciekleścią broni wróg. Dlatego namawiałem cię zawsze do sportu. Trzeba się uczyć pokonywać przeszkody, jak trzeba codziennie ćwiczyć mięśnie. Silny ma zawsze słuszość, prawo i pieniądze. Tylko ciamajdy i wałkonie żalą się i kwękają.

— Ba, ale, Heniu, musisz przyznać...

— Tybys wciąż rezonował — przerwał Wiśniewski. I cóżes wyrezonował najlepszego? Jesteś ślamazarą i dlatego naprzykład dałeś sobie ubiegłego lata wylapać najlepsze praktyki fabryczne. Ja otrzymałem jedną z lepszych, wcale dobrze płatną, a ty do swojej dołożyłeś. Życie to wojna, wbij to sobie w głowę! Wrazie potrzeby podstaw bliźniemu nogę, bo jeśli ty nie uczynisz tego, zastąpi cię inny. Polsce potrzeba ludzi ze stali, nie łazęgów i histeryków.

— Z punktu widzenia chrześcijańskiego — zaczął Sowa.

— Prędeż! — oto punkt i basta. No — już? Jazda!

Wiśniewski ruszył. Nogi wolne od ciężaru nart szły lekko, jak świeżo naoliwionę zawiasy.

— Swoją drogą, ile energii siedzi w tym Heńku — pomyślał Sowa i puścił się za nim.

Dopiero około dwunastej stanęli na Liljowem. Wiśniewski zadyszany, zaniepokojony rzucił się do zbadania terenu, który stromą pochyłością leciał w Dolinę Cichą. Wyciągnął długą szyję, zaczął ruchliwe, nerwowe wargi, pochylił się na kijach i badał. Tak znieruchomiały, z pozłocistemi rogami nart na plecach podobny był do fantastycznego owada, co wietrzy różkami, a szczytce nastawia przeciwko niewidzialnemu wrogowi. Odetchnął z ulgą. Szata śniegowa słała się dość grubym obrusem, umożliwiając zjazd nartami. Natychmiast zdjął je z pleców i zaczął przypinać.

— Zjeżdżajmy. Zakładaj narty! — krzyknął do zasnętego Sowy.

— Muszę odpocząć, Heniu. Zmęczyłem się i głód ścisza mi kiszki. Trzebaby coś zakąsić.

— Niema czasu na postoje. Zakładaj!

— Zalóżę, zalóżę, ale najpierw przetrączę coś niecoś,

— Niema czasu, powtarzam ci. Blisko dwunasta, a myśmy jeszcze nie odwalili nawet trzeciej części drogi.

— To może nie zdążymy?

— Głupiś! Teraz polecimy jak wicher. To, na co dotąd straciliśmy trzy godziny, weźmiemy teraz w kwadrans.

— Żeby nas tylko mgła znów nie ogarnęła. Krywania nie widać nawet, a Kościelec i Świnica siedzą w chmurach.

— Ho! ho! jaki mi znawca! Ale co tu dużo gadać. Ja prowadzę, czy ty? — krzyknął Wiśniewski wyzywająco.

— Ty, ale ty, Heniu — skwapliwie poddał się Sowa. — Ale swoją drogą zjem coś, dobrze?

— No to ćpaj, ja zjeżdżam. Zaczekam na ciebie w dolinie. A nie wal wprost przed siebie, bo tu gwałtowny spadek; tylko w zakosy, żebyś sobie nie rozbił nosa. Rozejrzę się tam, co i jak. Daję ci dziesięć minut, nie więcej!

Sowa dziwił się w duchu pobłażliwości przyjaciela. Nie wiedział bowiem, że Wiśniewski drży o stan terenu na Cichej i na Walentkowej. Gdyby i tam śnieg leżał tak płytko, jak na Hali Gąsienicowej, a zwłaszcza tak niejednorodną warstwą, „zdobycie“ Morskiego Oka stałoby się wątpliwe.

— Dziesięć minut! — krzyknął Wiśniewski i poleciał w dół.

Och nareszcie! Po raz pierwszy dzisiaj poczuł skrzydła u ramion. Leciał! Powietrze biło go w twarz, świszczowało w uszach, a rozkosz triumfalnej lekkości tętniła w głowie i w piersiach. Był wyzwolony i beztroski, a ścigły jak kozica. Deski nart szorowały skrzypiąc i jęcząc piskliwie. Chmury, obłoki, wirchy błyszczące lub posępne, czarne lasy, rzadkie bryzgi słońca migały w locie jak obrazy w kinie. Zniknęła złość, zapomniany został mózół, a zmysłowa uciecha przebijania się przez kryształ powietrza napawała szałem upojenia. Zeslizgiwał się w dół, wydając dzikie wrzaski, niby orzeł samotnie szybujący w pustociach tatrzańskich. Drwił w sercu swoim z owego lęku, którym go przejął był Kościelec i z pychą zuchwałą chełpił się wobec natury, służącej mu teraz i ulegającej potulnie. Zdawało mu się, że mógłby jednym skokiem wzniesić się w powietrze i ulecieć, jak to bywa w snach. W tym stanie ekstazy wszystko zdawało się podlegać wszechmogącej woli, która podbija świat i ukorzy ludzi. Już tu i tam miał oddane sobie jednostki, jak ten Sowa, ale to sygnały tylko przyszłych zdobyczy w życiu, które wykuje podług swej woli. Aut Caesar aut nihil!

Tymczasem wywrócił się. Szczęśliwie, że w ostatniej chwili zauważył białe, porowate gładzisko, szczerzące ku niemu poszarpane zęby, skrzył nagle w bok i grzmotnął w śnieg jak długi. Sekunda jeszcze i rozbiłby się o kamień. Kiedy otworzył oczy, zatrwożyło go podejrzenie, że leżał zemdlony, zwłaszcza gdy zobaczył Sowę, zataczającego pierwszy łuk. Sowa miał przecie spuścić się dopiero w dziesięć minut po nim. Zawstydzony samą myślą, pośpiesznie wygramolił się ze śniegu. Przez moment trudno mu było utrzymać się w równowadze, ale huknął na siebie: „nuże ofermol“ i oprzytomniał. Tylko serce dzwoniło na alarm i spazm trwogi, ohydny, łaskotliwy, pełzał w pier-

siach. Pod pozorem troski o przyjaciela postanowił zaczekać na miejscu i odpoczywał. Jeszcze nie mógł złapać tchu i gorączkowo wciągał nozdrzami powietrze.

Tymczasem Sowa, posiliwszy się, zjeżdżał ostrożnie, małymi zygzakami, i już zbliżał się do niego. Wisniewski odepchnął się i ruszył przodem.

Ale już po kilku minutach jęły się wylaniać z pod śniegu poźółkle i rude zacieki ziemi i piasku.



Rozpoczęła się robota żmudna, jak na Hali. Znowu komenda: „odpiąć narty“ i brodzenie w śniegu rozmiękłym, pełnym wyboistych narośli i ukrytych zaczepiek. Brawurowa wyprawa zmieniała się w małosłowną bójkę ze złośliwością lichego terenu. Wisniewski wciąż przewodził, chociaż znużenie wlewało mu ołów w żyły, a plecak z nartami przysgniał barki i łopatki jak wieża.

(c. d. n.)

Z DAWNYCH WSPOMNIENI

KRÓLOWA PLAŻY

N o w e l a.



orze odpływało. Na miłym piasku wybrzeża zostawały muszle i algi o zwiniętych cieniutkich listeczkach. Podnosiła je i rozchyłała długimi owalnymi palcami piękna pani. Jury konkursu zaocznego mianowała ją „królową“ cichej ustronnej plaży bretońskiej, którą zwiedzali turyści dla dziwu

dwóch wykutych w skałę świątków. Bił od nich majestat przedwiekowych twórczych wzlotów. Być może, pobożny eremita usiłował dać wyraz porywom wzbitej swej duszy. Być może pielgrzym świętobliwy, albo miejscowy rybak — artysta dokonali dzieła, Być może syn po ojcu wykończył je, pogłębiał, naprawiał. W cierpliwym pokorze kuli twarde oblicza, żeby z pokolenia w pokolenie trwały ku chwale bożej.

Nie skruszyły ich wichry. Nie rozniosły burze. Nie wyszczerbił pazur czasu. Tkwił żar dusz rozmodlonych w granicę. Korzyło się morze przed nim. Pieściło go słońce, Głaskały ciche dżdże wiosenne. Przysiadaly nad głowami posągów kormorany, ale one nie postrzegały ich, patrząc gromowładnym wzrokiem na fale oceanu, który omijał je nawet w czasie orkanów.

Nie rozbił się o kamienne strażnice żaden okręt. Nie zginęła w tych miejscach żadna łódź rybacka. Pobożni, skupieni w sobie, zabobonni bretończycy czcili skały te jak cudowne ołtarze, na których przed wiekami musiano składać ofiary całopalne.

Stawała przed nimi codziennie rano królowa plaży. Czy... żeby modlić się o wieczną młodość, wdzięk urody?

Czarno ubrane bretonki w czepkach, jak białe motyle, klęcząc, błagały o szczęśliwy powrót ojców, mężów, synów z wypraw dalekich. Biły się w piersi, padały na piasek z rozkrzyżowanymi rękami. Mruzczały pobożne paciery. Biała „królowa“ stała nieruchomie. Wiatr morski rzucał na twarz jej meszki rudawo-złoty włosów. Drobnym profilem ginął w cieniu nasuniętego na czoło kapelusza. Wyraźnie rysowały się tylko ślicznie wykrojone wargi.

— Ewa kusicielka... Salome z pozorami Beatrice — myślałam, usiłując oderwać wzrok od niej. Ale napróżno. Tkwił, wlepiony w prerafaelityczną sylwetę, w słodką gętkość linii ramion, karku, szyi, zasłoniętej wbrew modzie białą tkaniną.

— Śliczna — powtarzałam niechętnie naprzekór jakiemś dziwnemu postanowieniu nielubienia jej. Byli dla mnie — ona, mąż jej i syn dorastający —

uosobieniem snobów, którzy, wyjeżdżając zagranicę musieli stawać w pierwszorzędnym hotelach, przebierać się co wieczór do obiadu w stroje balowe, kręcić nosem na towarzystwo nie z ich sfery.

Pani towarzyszył prawie ciągle stary profesor, który przyjechał tutaj dla świątków i dla uroczego cmentarzyska menchirów i dolmętów, które ciągnęły się na kilka kilometrów w głąb tego kraju. Mistyk — okultysta, chciał wczuć się w ich nastrój, chciał wyzwalać duchy przedwieków. Ale zobaczył piękną rodaczkę i oszalał.

Czasem chwycił ją na porannym obcowaniu ze świątkami. Pytał, czemu tu przychodzi? Nie odpowiadała. Niekiedy pomagał jej zbierać muszle, algi i niósł je za nią, do wspaniałego hotelu, gdzie zajmowali dwa najpiękniejsze pokoje.

„Snoby“. To w moim pojęciu przywarło do nich bezpowrotnie.

Ale — co może mieć z nimi wspólnego stary, mądry profesor, na którego wykłady chodziłam i który był, jak dialektyk- sofista grecki, wiecznie w sprawach bytu i niebytu pograżony, wiecznie zagadnienia jaźni człowieczej i istoty świata rozwiązujący,

Rozprawiał o nich nad morzem. Piękna pani słuchała, choć — zdawało się — myśl jej ciągle odbiega, czy kogoś, czegoś szukają. Uspokajała się tylko, gdy syn szesnastoletni siedział u nóg jej w cieniu wielkiego chińskiego parasola i czytał książkę, albo należał do rozmowy. Jakiś skurcz bolesny krzywił wargi, drgał na policzkach, gdy chłopiec zrywał się, żeby odejść.

— Znowu na tenisa, albo na połów krewetek?

— Tak. Najpierw jedno, potem drugie.

Całował matkę w czoło i pędził w głąb wybrzeża. A ona bladła i z jakimś tępych wyrazem bez nadziei zwierzały się jej usta. Stary profesor mówił. Nie słuchała. Obca wszystkimu, zwracała oczy w dal, jakby chcąc rozerwać przestrzeń, dzielącą ją od czegoś, czy od kogoś.

* * *

Wieczór był cichy, ciepły. Morze — ciemno-stalowa tafla — trwało w bezruchu, jak zmęczony olbrzym, któremu nagle zachciało się odpocząć. W zatokach i portach — dalekich, bliskich — rozpalono światła. Żółte, różowe, niebieskie, ciemno-szkarłatne, fioletowe, zielone. Ruchome i stałe. Górowało nad nimi słońce latarni, zwracane na cztery strony świata. Gorzało i gasło w rytmicznym tempie, straż czuj-

na, sygnał niestrudzony, oko dobrotliwe, bystre, ratujące okręty, zbłąkane w mroku nocy. lub w odmętach huraganu.

Kto żył, siedł nad brzeg morski o tej cichej wieczornej godzinie. Goście z ubogich demokratycznych pensjonatów, niezmiennie strojów do obiadu i wielmoże z hoteli magnackich, ubrani jak na bal.

Przed moim kopczykiem z piasku, w którym zarywałam się, jak w stogu siana, stanęła „królowa plaży“ ze swoim orszakiem. Ojciec i syn poszli trochę dalej na brzeg jeszcze wilgotny po świeżo minionym odpływie, żeby blaskiem latarki elektrycznej budzić ze snu drobne krewetki, które wyskakiwały z piasku, jak do dnia i słońca. Profesor położył gruby pled na ziemi, tuż przed moją budką, usiadł na nim, on i „królowa“ w płaszczu na gazach, tiulach, koronkach, w koronie czerwono-złoty włosów, które nawet o zmroku miały połysk dukatów.

— Czy nie słyszy pani duchów, które tu są wszędzie — w powietrzu, na ziemi, dokoła nas, nad nami? Emanacja tysięcy. Myśl, głosy tych, co tu trwali przed wiekami. Może pobożnego eremity, który wykuł w skale. Może samych tych świątków... Bo przecież... nawet co martwe — rzeźba czy obraz — po latach zaczyna żyć. Budzą je spojrzenia ludzkie. Kładzie się na nich i wskrzesza je dech zachwytu, oczarowań, próśb, zaklęć, modlitwy... Widzi pani, te świątki patrzą na nas, jakby rozumiały, że o nich mówimy. Wzrok ich przeszywa panią, mnie nawet w tę noc ciemną. Zaklęła je magja obcowania ludzkiego. Oneby już bez człowieka trwać nie umiały. Mocne są kultem pobożnych, czy — jak pani woli — zabobonnych. To jest więź, która broni kamień od zwietrzenia, staje murem przed siłą żywiołu. Oh, gdyby ludzie zdawali sobie sprawę z tajemniczego związku między tem, co widome, a tem, czego nie postrzegają nasze zmysły — żylibyśmy pełniej, głębiej. Odkrywalibyśmy w sobie światy, które giną, jak nieodstrzeżone, a zdeptane zdzła trawy. Człowiek jest drobiną, ale wszechświat ma w sobie.

Może słuchała, może nie. Wzrok jej przywarł do dwóch postaci, uwijających się z latarką elektryczną na wilgotnej części wybrzeża.

Światła dalekich i bliskich portów, drząc w ciemnym powietrzu, zdawały się zwierzać sobie jakieś niepojęte tajemnice, które ginęły i wracały tysiącokrotnym odbiciem w głębi wód.

Anglicy stali zapatrzeni w zjawę cudowną. Ktoś szkicował świątki po nocy. Parami, trójkami przechadzano się po piaskach wybrzeża i rozmawiano szeptem, żeby nie płoszyć wielkiej mistycznej ciszy.

Ojciec i syn w pogoni za budzeniem krewetek, skaczących jak wyglądzone pchły, zginęli z oczów. Dama w gazach i koronkach drgnęła.

— Zimno pani?

Profesor już zdejmował palto, żeby okryć. Podziękowała.

— Nie, nie zimno, tylko strach. W taką noc cichą, ciemną, jeszcze większy niż zawsze. Ja się ciągle boję. Ja... przed tym świątkiem... tutaj... stoję i błagam, nie żeby odjął ten strach, ale — żeby dał siły skryć go, nie zdradzać się z nim.

— Profesorze, czy pan ma dzieci?...

— Już dorosłe. Zapomniałem o nich. Poszły w świat.

— I nigdy nie bał się pan o nie?...

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Dlaczego miałem się bać?...

— To znaczy — zdrowe były.

— Dlaczego miały chorować? — Przechodziły jakieś tam odry, szkarlatyny, tyfusy, ale wylizwały się z tego.

— A nikt z bliskich panu nie był chory na serce?

— Nikt.

Zwiesiła głowę i zakryła oczy rękami. Na gazę i koronki spadło kilka grubych łez.

Profesor patrzył, skłopotany, nic wiedząc, co robić z sobą, z nią.

— Widzi pan.. muszę powiedzieć, muszę się wytłomaczyć, dlaczego nieraz taka bywam roztargniona. Dlaczego patrzę na ludzi, jak na widma i nic nie słyszę. Ja pana nieraz też nie słyszę, profesorze. Bo... bo... myśl moja to jest jeden strach. Od rana do nocy i całą noc do świtu. Mało sypiam. Chwilę tylko. Nie wiem, jak żyję. Gdyby pan miał dziecko chore na serce zrozumiałby pan.

Od piątego roku już... po szkarlatynie... i tak zostało. I nie może się zmienić. Wyrok jak miecz nad nim, nademną. Wiem — przyjść musi to najgorsze. Przyjdzie... Ale... żeby przynajmniej gdy jestem z nim. Żeby jego głowę móc położyć na swoich kolanach. Patrzeć... patrzeć... To będzie nagle. Ja mogę nie być wtedy. Padnie gdzieś na ulicy albo tu przy tenisie, w skałach, nad krewetkami. Obce ręce go podniosą. Obcy ludzie mnie zawołają. A przed nim... ciągną komedja, wieczne udawanie. Męka. Robi, czego nie wolno. Sport. Buntuje się. Nie słucha. Profesorze, ja ciągle muszę się uśmiechać, ja muszę się stroić, bo on chce. Ja muszę być damą — taka jego wola i tylko wtedy mogę być z nim.

Lubi się bawić. Rok, dwa, trzy ma przed sobą. Wie. Chce żyć, Na wszystko pozwalamy. Na wszystko się godzimy, żeby go nie drażnić. Tylko sam strach, ten okropny strach, żeby to się nie stało po za mną...

Spuściła głowę. Płakała. Profesor podparł ją ramieniem. Chciał coś powiedzieć, ale siedział milcząco, skłopotany.

Z za skały ze świątkiem wyłonił się ojciec i syn, rozbawieni, roześmiani. Pani w gazach szybko starła łzy. W mroku nocy nie czerwieniały oczy.

— No co, zadowolony jesteś z dnia dzisiejszego, Zbyszku?

— Tak, mamusiu. W tenisie — zrozum... cztery sety. A krewetek pełna siatka.

Wstała. Skierowali się wszyscy do rzęsiście oświetlonego hotelu, gdzie już grzmiały foxtrotty, tanga, bostony.

Profesor pożegnał ich i zawrócił do skromnego pensjonatu w głębi wyspy. Ja zostałam. W mroku nocy patrzył na mnie świątek. Ciemne oczodoły przenikały duszę nawskroś i grały zakamarki sumienia. Posąg odwieczny. Wszystko rozumiejący. Niczem nie zdziwiony.

Rozgrzesz, kamieniu, moje błahe, płytkie sądy. Daruj mi przewinę.

Cecylja Walewska.



PAOLO MANTEGAZZA

8

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGJENY MIŁOŚCI)

Podziękowałem mu i zabrawszy list znów jestem w domu i piszę. Och, zaprawdę, miłość zmienia mężczyznę w dziecko, lecz dziecko jest wszak istotą najbardziej żywą, niewinną.

I siedzę tu, głowa mi pęka, a muszę zdobyć się na spokój niezbędny do usprawiedliwienia się i obrony, abyś mogła przebaczyć mi, pani, mój występki.

Tyś wyjechała z Londynu, ja zaś pozostałem.

Oto całe dzieje owego cierpienia, którego nie potrafiłem pokonać w ciągu trzech miesięcy, i oto dlaczego po raz pierwszy w życiu, a myślę, że i po raz ostatni, złamałem dane słowo.

Po kilku dniach, gdy stępała rozpacz umożliwiła mi myślenie i opamiętanie się, zdołałem urządzić sobie jakiś tryb życia. Ledwo tylko wstałem, siadałem do pisania i w ten sposób spędzałem z Panią dwie lub trzy godziny. Składałem list, jak gdybym mógł go wysłać, i kazawszy osiodłać wierzchowca, puszczałem go nieokiełznanym galopem przez długie aleje pierwszego napotkanego parku, wyobrażając sobie, że spotkam Cię i sam wręcę list, z którym się nie rozstawałem. O tej godzinie byłem jedynym jeźdźcem w parkach Londynu, a wyobraźnia, podniecana ciągle jedną i tą samą myślą, dawała mi złudzenie, że oderwany istotnie od świata zewnętrznego, pędzę, — pędzę na skrzydłach swego rumaka, wysiadam na brzegach morza Śródziemnego, znajduję dom i Panią samą w oknie, że Cię pozdrawiam, a Ty się uśmiechasz. A potem unosiłem się w strzemionach, Pani wyciągała ramię, a ja wręczałem list. I tak pogrążałem się w tych marzeniach, że byłem z Tobą aż do chwili, gdy zmęczenie konia skłaniało mnie do powrotu.

Wówczas ogarniało mnie takie zmęczenie, że mogłem przez parę godzin leżeć w jakimś dziwnym oszołomieniu, które pozwalało mi żyć, nic nie czyniąc.

Obudzony z tego letargu, który byłbym pragnął przedłużyć w nieskończoność, wracałem do swego gabinetu, odczytywałem napisany list i, wyobrażając sobie, że jestem Tobą, Pani, odpowiadałem długim listem Williamowi, adresując do siebie. Mogę powiedzieć wszystko, byś wiedziała, jak bardzo Cię kocham. Niejednokrotnie wysyłałem tę odpowiedź przez siebie napisaną, ciesząc się, gdy służący wręczał mi ją, opatrzoną stemplem pocztowym.

Nie było to oczywiście życie, jakie nakazałaś mi pędzić, lecz ja nie potrafiłem zdobyć się na inne, poza niem mogłem wyobrazić sobie jeno samobójstwo. Poleciałaś mi, Pani, pracować, czynić dobrze, siać dookoła siebie radość, lecz biedny Twój William umiał tylko jedno: kochać Cię, kochać całą potęgą, jaką daje rozpacz.

Lecz powoli ta ciąгла egzaltacja, to złudzenie żywe i czynne nieistniejącego świata, wciągnęły mnie w istne szaleństwo, którego lękałem się więcej niż śmierci; bo już jako chłopiec czułem zawsze silniejszą grozę wobec utraty rozumu niż życia, która jest wszak tylko zaprzeczeniem fizycznego bytu, jakże drobnej rzeczy!

Wówczas rozprężyłem się nagle, jak dławiona przez lata sprężyna, z której zdjęto ciężar. W jednej chwili ujrzałem jasno swoje przeznaczenie, poczułem, że trzy miesiące rozłąki wzmogły jeszcze moją miłość, że życie bez Ciebie jest dla mnie ciężarem nie do

zniesienia, męką ponad wszelki opis. Przrzekłem, że będę żył, lecz w takim stanie rzeczy stałbym się wkrótce nieszczęsnym obłąkańcem, a Pani tak dobra, nie chciałabyś z pewnością pchnąć swego Williama na drogę szaleństwa. Postanowiłem więc odznaleźć Cię, odnaleźć, jeśli zajdzie potrzeba, na krańcu świata, i zażądać miłości, lub zwrotu swego słowa. Był to dylemat okrutny, lecz nieunikniony: nie widziałem nic innego, nie mogłem wyobrazić sobie nic lepszego.

W labiryncie mojego mózgu, pośród wulkanu mojego serca tysiąc myśli wybucha, splata się, przeciwstawia, lecz gdy nadeszła chwila rozpacz, mgła się rozprasza, milknie i ucisza się szalejąca rozterka i, na pole walki występuje wyraziście z okrucieństwem matematycznym dylemat i stają naprzeciw siebie dwie zasady, dwie namiętności, dwa indywidua, dwie epoki, słowem dwie siły, z których jedna musi zwyciężyć. druga zginąć i umrzeć.

I dylemat był dla mnie taki: albo żyć i być kochanym, albo umrzeć.

Z krainy marzeń powróciwszy w dziedzinę czynu, próżen już namiętności włoskiej, która czyniła mnie tak bardzo zakochanym, stawałem się znowu Anglikiem i nie wątpiłem przez chwilę, że zdołam odszukać Panią. Nienawidzisz chłodu, szarości północy i jej sosen, żyć możesz tylko we Włoszech. Z podróży do tego kraju wywozłaś dwa drogie wspomnienia, które mi tylokrotnie pieściliśmy się wspólnie podczas długich gawęd w godzinie zwierzchu. Mogłaś być albo w Sorrento, albo w zatoce liguryjskiej, byłem tego pewny. To nie kłamstwo, nie przesada, że serce ma przecucia. Nie można kochać, nie stopiwszy się wprzód duszą z inną duszą, nie splótłszy swych myśli w jedno, nie czując kogoś innego w sobie. Oto dlaczego serce czyta i odgaduje, dlaczego jeno odczytuje w niem to, co przepisało z innej księgi, a co z duszy bratniej wydarło, odnajduje w swej własnej.

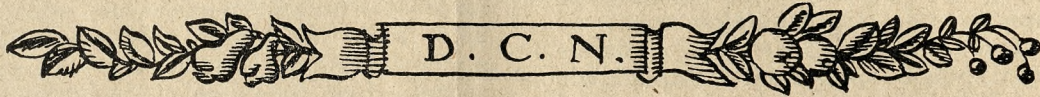
Przybyłem do Spezji, przebiegłem wszystkie hotele, wszystkie wille, i dowiedziałem się wczoraj wieczorem od jednego z przewoźników, że oto trzy miesiące temu woził do San Torenzo dwie panie: jedna, mówił, była bardzo piękna, młoda i cierpiąca, druga, starsza, miała wygląd osoby bardzo dobrej. Byłaś to, z pewnością, Ty, pani, z ciotką. Kazałem mu zawieźć się natychmiast do San Torenzo. Odpowiedział, że wiatr jest tęgi, wobec czego musi wziąć z sobą towarzysza. Nie chciałem: on jeden woził was, on jeden też miał zawieźć i Williama.

Siadłem przy sterze, żagiel tak był wzdęty, że zdawało się pięknie, sunęliśmy jak strzała po fali, lecz ja byłem zbyt roztargniony i omal nie pchnąłem łodzi na skały i nie wywróciłem jej kilkakrotnie. Gaetano nie pozwolił mi więc sterować. Byłem z tego rad bardzo. Rzuciłem się na dziób łódki i tam, zamknięty między dwoma żaglami, o jedną piędź od fali pod przenikającym aż do kości powiewem, mogłem sycić się widokiem tego rajy, pełnego wzgórz roześmianych, piekielnych wirów i równin lazurowych, co zwie się zatoką genueńską. Lubowałem się każdym liściem oliwki, każdą pinją, rozmiłowanym wzrokiem śledziłem każdy bryzg perłowy fali, co odrywając się od błękitu wód biegł i znikał pod naszą łodzią, chłonałem chciwie aromat morza i wszystkimi zmysłami

upajalem się całym tym czarem, bo pośród niego ukryła się moja Emma.

Do San Terenzo dotarłem o zmierzchu. Udałem się natychmiast do „Unione“, zapytując bez wszelkiej ostrożności, ba, z jakąś niesamowitą porywcznością o Panią, a dowiedziawszy się tego, co już wiedziałem, wynająłem pokój nawprost Twojego i czułem się przez chwilę najszczęśliwszym z ludzi. Lecz szczęście nie oszołomiło mnie, bowiem umiałem czekać, i ujrzawszy wieczorem w oknie Pani oblicze blade i boskie, zdołałem oprzeć się chęci i pozostałem w domu, a w odległości kilka zaledwie kroków stłumiłem w gardle wydzierający się gwałtownie okrzyk. Uciekłszy od okna, rzuciłem się na łóżko, usiłując zatracić się w sobie i choć na chwilę osłabić wrażenie, którego gwałtowność, zda się, zabije mnie.

Miłość moja krzyczała niepowstrzymanie: ona jest tu, blisko ciebie, mogłaby usłyszeć twój głos, jest tu, twoja, nikt bowiem nie może kochać jej tak, jak William, ani, jak on, uczynić jej szczęśliwą.



A duma wołała równie głośno: twoja Emma była w Europie, to jedno tylko wiedziałeś, ale serce zawiodło cię ku niej; tak gołąb, nie patrząc, powraca z odległych krajów do swego gniazda, a strzała, wyrzucona zręczną dłonią, trafia niechybnie w cel, tak oko żyjącego stworzenia i liść rośliny w ukryciu odnajduje promień słońca, i Arab na pustyni przeczuwa wodę w odległej wazie, tak William szuka Emmy i tak Emma odnalazłaby Williama.

Czy nie wierzysz, Emmo, po tem wszystkim, że Pan Bóg stworzył mnie dla Ciebie, nie wierzysz, że jesteśmy, jako dwie gałęzie od jednego pnia oderwane, które miłość Twoja złączyć musi i spoić, aby czerpały jedno soki, jednym oddychały powietrzem i na wieki związane wspólnem żyły życiem?

A mogłabyś tylko powiedzieć mi jedno: że kochasz kogo innego. Jeżeli to prawda, powiedz mi to odrazu, natychmiast, abym skończył przed Twoim domem, pod ścianą, na której niedawno wycisnąłem

pocałunek,
gorący jak życie
i jak śmierć wierny.

ZMIERZCH ZUZANNY LENGLEN

Doskonale każdy z nas wie, że nie należymy do krajów wysoko usportowionych. Rubryki sportowe w pismach codziennych i tygodniowych, nie mówiąc już o specjalnych fachowych pismach sportowych, nie cieszą się rozgłosną poczytnością, wydarzenia sportowe na wielką nawet skalę nie są przez nas komentowane tak żywo, jak to naprzykład miałyby miejsce choćby w Czechach.

A jednak... A jednak — niema chyba w Polsce pisma i niema bodaj człowieka, któryby milczeniem pominął nowinę, jaką podały pisma przed paroma tygodniami, a która streszczała się w kilku zaledwie słowach: Zuzanna Lenglen przestała być amatorką, przechodząc pod sztandar zawodowców.

Kim była Zuzanna Lenglen i czemu zawdzięczała swą sławę wszechświatową, nie dającą się porównać ze sławą żadnej innej kobiety współczesnej? Jakich czynów dokonała ta dziś jeszcze młoda tennistka francuska, jeśli jedno z najpoważniejszych pism francuskich, drukując Zuzannie wspaniałe nekrolog sportowy (dla sportu amatorskiego umarła przecież Zuzanna na zawsze!), pozwala sobie umieścić o niej opinię następującą:

„Z najwyższym żalem, z głębokim bólem żegnamy Zuzannę, porzucającą ideę amatorstwa dla podwójnie nowego świata. (Zuzanna jedzie do Ameryki i stała się zawodowcem). Z żalem tym większym, że ponosimy stratę niepowetowaną, bo przecież Zuzanna uczyniła dla sławy sportu francuskiego, w oczach całego świata znacznie więcej, aniżeli wszyscy inni czempioni francuscy razem wzięci. Zuzanna Lenglen była i jest najdoskonalszą inkarnacją sportu francuskiego. Wspaniałym symbolem rasy francuskiej ze wszystkimi jej zaletami i słabostkami. Posiadała wszystkie cechy genjuszu francuskiego i wszystkie jego załamania, posiadała francuską żywość i zdolność do entuzjazmu, nerwowość i zmienność nastrojów, brawurę i piękno gry...“

Powyższe słowa dziennikarza francuskiego nie zawierają najmniejszych okrucich przesady. Dla każ-

dego francuza, niezależnie — czy był to przedstawiciel eleganckiego świata paryskiego, czy też mały bistrot Paryża, czy może jeszcze na dalekiej prowincji pilnie wyczytujący wiadomości „ze świata“ powszedni człowiek — dla każdego z nich Zuzanna była dumą narodową, nigdy przez nikogo niezwykniętym sztandarem zwycięstwa. Bez różnicy wieku, płci i pozycji socjalnej każdy wiedział we Francji, że Zuzanna jest „imbattable“, że sławy jej zazdroścą wszystkie największe gwiazdy tennisu światowego, że Ameryka napróżno śle do Europy najznakomitsze swoje tennistki — na pewną przecież porażkę.

Niema chyba w słowniku francuskim najlepszych, najczulszych, najdumniejszych określeń, którymi nie obdarowanoby Zuzanny. Ona jedna przecież pośród wszystkich czempjonów świata zyskała przydomek „boskiej“ — pod imieniem „boskiej Zuzanny“ znalazła i do nóg hołdy jej składał świat cały. Żyła boska Zuzanna w zaczarowanym zamku sławy, aureola „niezwycięzonej“ otwierała jej złotym kluczem popularności wszystkie stolice świata, dla których była zawsze nieporównaną atrakcją. Dla niej przecież, gdy brała udział w turniejach na Jasnym Brzegu zjeżdżały olbrzymie tłumy arystokracji angielskiej i amerykańskich posiadaczy dolarów, dla niej zaszczycała turniej tennisowy w Wimbledon swą obecnością Jej Wysokość Królowa angielska, z nią grywał w tenisa król szwedzki.

Karjera sportowa boskiej Zuzanny jest doprawdy nieporównana w dziejach sportu nowoczesnego. Nieporównana tembardziej, że — powiedzmy to sobie otwarcie i zapamiętajmy dobrze — Zuzanna nie była fenomenem zdolności, unikatem wyjątkowej kondycji fizycznej. Była natomiast niezwykle, wspaniałym fenomenem energii i pracy, umiała niezmordowanie posuwać się wciąż naprzód po stromych szczeblach wysokiej drabiny, prowadzącej wiernie do triumfów.

Jako mała dwunastoletnia dziewczynka marzyła Zuzanna o prawdziwej rakiiecie tenisowej. Kiedy ją wreszcie dostała — stała się rakietą owa najdroższym

skarbem dziecięcego serca. Trenerem Zuzanny, cierpliwym, a niezawodnym — była ściana willi pańswa Lenglen. O tę ścianę, na której wyrysowana kredą linja wskazywała poziom siatki tenisowej, niezmodowanie, cierpliwie, systematycznie trenuje mała Zuzanna.

Po paru latach pracy, piętnastoletnia Zuzanna zdobywa po raz pierwszy w swem życiu mistrzostwo Francji. Dziecko jeszcze, a już tak sławna! Fama o jej wielkości, fenomenalnie pewnym uderzeniu, brawurowej grze ataku przy siatce, przecudownym tańcu na korcie tenisowym w pogoni za piłką — obiegają cały świat.

Do stóp szesnastoletniej Zuzanny chyli się po raz pierwszy w jej życiu tytuł mistrzyni świata, odebrany z doświadczonych rąk „dorosłej“ angielski. Tytuł, którego Zuzanna strzec będzie pilnie i który nie zdradzi jej nigdy, pozostanie wierny, aż do końca jej długiej kariery.

Pierwsze nieśmiałe blaski sławy jakże szybko, jak cudownie zamieniły się wkrótce w stukolorową opowieść o boskiej grze Zuzanny. Wszyscy pragną ją zobaczyć, każdy chce podziwiać Zuzannę grającą w tenisa tak, jak nikt nigdy dotąd nie grał.

Zuzanna jest sławna. Przedziwny, upajający haszysz sławy, rozgłosnych oklasków, podziwów niezwykłych, huraganowych zrywów entuzjazmu ze strony tysięcy widzów — nieodparcie wabił Zuzannę, wciągając ją wciąż dalej i dalej w otwarty szeroko krąg królewskiego bogactwa wrażeń.

Odtąd przez lat kilkanaście nieporównana królowa rakiety obwozić będzie po dalekich stolicach świata niezwykle artystyczny swego gry. Życie małych trosk i ubogich wrażeń, życie zapomnianego, zagubionego w świecie przeciętnego człowieka — jakże dalekiem będzie boskiej Zuzannie!

Zuzanna wie, że jest sławna, Czyta o sobie wielkie artykuły we wszystkich pismach cywilizowanego świata, ze wszystkich pism ilustrowanych wygląda ku niej przepych niezliczonych jej własnych fotografii. Zuzanna wie, że dla niej po brzegi wypełnione są trybuny widzów, że dla niej płacić trzeba za bilet wejścia na turniej aż kilka tysięcy franków, wie, że ruch jej każdy podejmie tysiąc wpatrzonych w nią jedną tylko oczu, wie, że jest dumą Francji. najwięcej przyciągającym uwagę świata aktorem tenisu.

Tak, Zuzanna jest aktorką. Zna wartość i urok ślicznych tualet, czar piękna ruchów, Na korcie tenisowym rusza się jak tancerka. Na końcach palców — lekko, bez wysiłku, bez zmęczenia biegać będzie za piłką, radując oczy widzów pięknem ruchów, estetyką ubrania, Przeciwniczce swej nigdy nie da przyjsć do głosu, sama przez sekundę nie przestanie panować nad sytuacją, dowolnie dyktować będzie piłkami swemi — uderzenia przeciwniczki.

Od chwili zdobycia poraż pierwszy mistrzostwa świata, aż do dni ostatnich, a więc przez długich lat kilkanaście, sława niezwykłej Zuzanny nie zna momentów załamań.

Wiedziała wszakże Zuzanna, że wszystko w życiu posiada swój nieunikniony kres. Wiedziała, że nad wszystkim panuje nieubłagany czas, że on będzie zawsze ostatecznym zwycięzcą niezwykłych.

Więc kiedy w pełni triumfów i sławy szybko zbiegło lat kilkanaście, kiedy gwałtownie a hardo — choć dotychczas bezskutecznie — o berło pierwszeństwa w tenisie dobijać się zaczęła młoda, o wschodzącej sławie międzynarodowej, miss amerykańska — boska Zuzanna, dobiegająca lat trzydziestu, poczęła ważyć w sobie wielkość decyzji.

Z za tamtej strony oceanu — wciąż myślą o de-tronizacji Zuzanny. Wszystko czyha niespokojnie na moment słabości Zuzanny, na upragnioną chwilę, w której taka, czy inna miss amerykańska wytrąci Zuzannie z rąk królewską raketę zwycięstwa.

Zuzanna waży w sobie wielkość decyzji. Szybko przebiega wzrokiem etapy swej niezwyklej kariery. Wciąż jeszcze jest nieopita. Po zwycięstwie nad ową hardą miss amerykańską (Helena Wills) sława jej znów nowym zajaśniała blaskiem. Naprózno szukać na świecie całym tenisistki, któraby zamarzyć śmiałk o wydarciu królewskiego berła pierwszeństwa z rąk Zuzanny. Zuzanna jest klasą dla siebie, Zuzanna jeszcze przez lat kilka może być pewna swych nieprzerwanych triumfów.

Bo ostatniem zwycięstwem nad Heleną Wills, Zuzanna jeszcze wyżej wyrosła.

Szczyt sławy, szczyt wielkości sportowej, szczyt zwycięstw i triumfów.

A jednak Zuzanna wie, że dziś czy jutro zwycięży ją ktoś, od kogo nikt ze śmiertelnych uchronić się nie zdołał. Kto? — Czas!

Obojętnym będzie fakt, amerykańska miss, angielska lady, czy hiszpańska senoryta wszystkimi stacjami telegrafu na cały świat zakrzyczy wielką nowinę o swem zwycięstwie nad niezwykłą. Obojętnym będzie ten fakt: Zuzanna wie, że pobije ją właśnie czas, a nie żadna najświetniejsza rakietka świata.

Zuzanna dalej waży wielkość decyzji. A wtedy, cóż będzie wtedy, gdy berło pierwszeństwa nieubłagany czas jej wytrąci? Opadać będą wszystkie liście wawrzynu, blaknąć najwspanialsze barwy, blednąć najcudowniejsze blaski sławy. Zapomni świat, zapomni Francja o boskiej. Król umarł — niech żyje król. Nieunikniona przeciętność szarzyzny życiowej, troski materialne, kłopoty drobno-zyciowe czyhają nieodparcie,

Lenglen nie mogła, nie chciała zgodzić się na tak anemiczny koniec swej wspaniałej epopei sportowej, Zuzanna nie chciała patrzeć, jak powoli zapadać się będzie bajeczne państwo jej sławy w nieuchronną przepaść zapomnienia.

A przytem tualety są tak kosztowne, a kurs franka coraz niżej spada. Wprawdzie Zuzanna jest amatorką, ale ta i inna firma tak dobrze płaci boskiej za reklamę noszonych tualet, a pisma wysokimi stawkami honorują artykuły pisane przez królową tenisu.

Wszystko to w niwecz obrócić się może wraz z powolnym zanikaniem sławy.

Tymczasem przyjechał z Ameryki wielki impresario p. Pyle i przywiózł z sobą nęcącą wymowę wysokiego kursu dolara.

Zuzanna, jak tytu, tylu innych — urokowi brzęczących argumentów oprzeć się nie mogła. Dyskretnie podsunęty kontrakt na czteromiesięczne tournée po Ameryce za cenę 100.000 dolarów miesięcznie zdobył krótki podpis królowej rakiety. Zuzanna Lenglen przestała być amatorką.

Jak chcą przepisy i regulaminy tenisowe — Zuzanna już nigdy więcej nie będzie grać o żadne mistrzostwo świata. Stąd zrozumiałym jest żal tych wszystkich, dla których Zuzanna była nieporównanym mistrzem rakiety, przepysznym, czarującym oczu kwiatem południowych kortów tenisowych.

W pełni sławy, u szczytu formy sportowej, z dziewiczym, nienaruszonym indeksem samych zwycięstw — stawia boska Zuzanna kres swej nieporównanej kariery.

Z. ZAWISZANKA.

CÓRKA BOGA

Poznają ją bracia, Jan i Piotr, goszczą ze czcigodnymi dworami, przyjmują grody darami i godnym poczęstunkiem. W męskie szaty odziana, z mieczem u pasa, jeździ z pocztem zbrojnych, od zamku do zamku i jedna sobie stronników, bardzo gorących niekiedy, śle orędzia szumne do „mych miast“... Tylko na polach bitew jej nie widać!

Z królem ponoć gada przez posły, lecz nie kwapi się jakoś stanąć przed nim z pokłonem.

Uradowani orleańczycy powitali ją ucztą bogatą — ale już w rok później odprawili, w męczeńską rocznicę 30-go maja, msze żałobne we wszystkich swych kościołach. Coś więc musiało podkopać ich wiarę w tajemniczą samozwanekę: podobno obyczaje jej nie były budujące, a i wiara zdawała się pojeżdżana...

Mimo to zaprzętała swą osobą wiele umysłów, przez kilka lat jeszcze, rozbijając się po kraju z wielkim hałasem. Zachował się z owych czasów akt ślubu, pomiędzy rycerzem des Armoises, a „Joanną du Lys¹⁾, Dziewicą Francji“.

Wreszcie, zawezwana przed króla, w 1441 r. zmieszała się na łagodne jego słowa:

Witaj, cna dziewo, w imię Boga, który jeden zna tajną sprawę między mną a tobą.

Słyszając to, padła mu do nóg, wyznała z płaczem, że nie jest wcale Joanną i błagała o przebaczenie.

W owych czasach właśnie Karol VII, korzystając z przerwy w działaniach wojennych, począł organizować nanowo cały aparat rządowy, a zwłaszcza wojska. Z pomocą dzielnych techników (braci Bureau) stworzył silną artylerię i unormował stałe zaciągi, jako zaczątek regularnej piechoty.

Wiedział już teraz, czego chce, ześrodkowywał w sobie naprawdę sprawę państwa. Któż wie, czy go nie podtrzymywał niezapomniany głos niewieści, z wyżyn nieba idący i z głębin sumienia:

— Ziścić sny moje! Bądź prawym królem!

Wznowienie walk w 1449 r. przynosi szereg decydujących powodzeń. Ludność Rouen dopomaga z zapałem oblegającym Francuzom, wznosząc barykady na ulicach przeciw swym angielskim „obrońcom“. Niezadługo potem (1450 r.) pada Honfleur; drugą nadmorską twierdzę, Harfleur, bierze szturmem sam król, na czele wojska, nie oszczędzając swej osoby.

Przychodzą wielkie zwycięstwa w otwartym polu, pod Formigny (1450), pod Castillon (1453); ostatnie, podbite od wieków prowincje, Normandia i Gwjenna, wracają do korony francuskiej. Król-triumfator odbudowuje kraj mądrze i cierpliwie, otoczony dobranem gronem oddanych współpracowników. Zwycięża on, jak mówi Hanotaux, dzięki energii Richemont'a, złotu Jakóba Coeur, i armatom Jana Bureau. Słusznie też przekazano historii jego imię z przydomkiem „Le Bien Servy“²⁾

A ta, co mu służyła pierwsza, wbrew wszelkim rachubom ludzkim, najlepiej, najofiarniej? Wszak nie mógł zapomnieć, że z jej rąk ma koronę, na którą także padał od stosu w Rouen zębny cień herezji...

Czy nim kierowała tylko chęć starcia tej plamy czy impuls jaki bardziej bezinteresowny? — niewiadomo — dość, że przewyciężając liczne trudności kościelne, doprowadził, przez wierny sobie kler, do

rewizji procesu. Pierwsze kroki w tym duchu czyniono już od 1450 r.

Uroczystą procedurę otwarła w 1455 r., w Paryżu w kościele Notre Dame, solenna skarga Izabelli d'Arc, w żałobie, błagającej księży na kolanach o sprawiedliwość dla cieniów córki. Lud wtóruje tej macierzyńskiej skardze jękami żałości. A później następuje jakby procesja całego tłumu świadków; przesłuchiwanie ich ciągnie się kilka miesięcy, zeznaje rodzina, wieśniacy z Domrémy i okolicy, mieszczanie, dworzanie, paziowie, towarzysze broni: Bastard Orleanu, dziś hrabia Dunois, wódz sławiony, książę d'Alençon, d'Aulon, de Contes, de Gaucourt, Metz, Poulengy, kapelan Pasquerel, wreszcie księża z Poitiers, z Rouen, sędziy i pisarze sądowni.

W ich zgodnych świadectwach, przeważnie pełnych pietyzmu i prostoty, widać naprawdę „spontaniczny ruch sumień“³⁾.

Wychodzi teraz na jaw, jakich środków się chwytało, by zgubić Joannę. Członkowie sądu, zmuszeni do zeznań, wykręcają się niezgrabnie, zwałając całą winę na tego, co bronić się już nie mógł: zmarłego przed 13-u laty Cauchon'a. Opinia publiczna, pchnięta w tak wygodnym kierunku, poczyną odtąd widzieć w nim jednym „czarny charakter“, patrząc spokojnie, jak inni, niemniej prawie gorliwi oprawcy Dziewicy, (T. de Courcelles, nawet Loyseleur!) reprezentują zaszczytnie Kościół francuski na wielkim synodzie w Bazylei...

Wyrok nowego trybunału, zapadły 7 lipca 1456 r., zarzuca procesowi z przed 25 lat podstęp, potwarz, niesprawiedliwość, sprzeczność, błędy, a wszystkie skutki jego ogłasza jako „żadne, bez wartości, unicestwione“: Dopelnia tego aktu ekspiacji publiczną procesją, pochwalnym kazaniem na placu stracenia i wzniesieniem pamiątkowego krzyża na tem samym miejscu, gdzie niegdyś gorzał stos. Później król ufundował tam jeszcze kilka figur symbolicznych z napisem.

— Joannae d'Arc, quae sexu femina, armis vir, fortitudine heros...

Orlean pozostał wierny i poza grób wybawicielce swojej. Nietylko, że odprawiano tam co roku msze żałobne, ale wypłacano dożywocie matce Joanny, a potem jej bratu. Instynkt miłości tego miasta dokonał jeszcze przed rehabilitacją (bo w 1440 r.) jakby kanonizacji samorzutnej: ułożono tu naiwne „misterjum“ na temat jej żywota (takie, jakie poświęcano jedynie świętym) — odgrywane odtąd corocznie na pamiątkę oswobodzenia grodu. Jest to bezcenny dokument ludowej intuicji; przemawia w nim nie sztuka jeszcze, lecz żywa pamięć i uwielbienie współczesnych.

W 1458 r. wystawiono pośrodku pamiętnego mostu na Loarze wielki spizowy krzyż, z klęczącymi u stóp jego postaciami Joanny i Karola VII.

Lecz to dopiero początek „pośmiertnego życia“ Dziewicy na ziemi. Pamięć o niej, podtrzymywana wiernie przez poezję wszystkich wieków, mierzchnie tylko chwilami, w martwych i ciemnych okresach historii, by potem rozblęskać coraz świetniej, Nie-

1) Nazwa herbu, nadanego jej przez króla.

2) „Dobrze obsłużony“.

3) G. Hanotaux.

prawdopodobna zjawia olśniewa wyobraźnię, porusza serca pokoleń tem żywiej, im bardziej wydłuża się perspektywa dziejowa. Ziarno, które rzuciła ta wieśniaczka, staje się ośrodkiem krystalizacyjnym francuskiej świadomości narodowej.

Kult jej, rosnący niewstrzymanie, mimo szerzonych niekiedy przez jednostki błędów i potwarzy (du Haillau, Shakespeare, Voltaire) akcentuje się zwłaszcza w chwilach niebezpieczeństwa, jednocząc Francję w płomieniach patriotycznego porywu.

Każda epoka patrzy na nią inaczej nieco. Renesans nie chce jej rozumieć, jako „zbyt — gotyckiej!”, wiek XVII tego nie potrafi: epopea Chapelain'a jest mimowolną karykaturą! Wielka rewolucja, w swym zapale obalania tronu, usiłowała przekreślić i bohaterkę, co go broniła niegdyś — lecz ona okazała się mocniejszą od wiekowych tradycji dynastycznych, mocniejszą od nienawiści wszelkiej.

Cesarstwo nawróciło do niej natychmiast, a druga republika poczęła wkrótce czcić ją namiętniej jeszcze, niż monarchja — może pod wpływem romantyzmu, który sprowadził nawrót ku średniowieczu. Pojmując postać Joanny nieco opacznie wyczuwał on jednak silnie jej orok. Schiller postawił ją, w oczach całej Europy, na szczytach sztuki — lecz inną, niestety, niż była w rzeczywistości.

Poważne badania historyczne nad życiem i dziełem rycerki orleańskiej zaczynają się powoli w XVIII w.; lecz dopiero druga połowa XIX-go kieruje je na właściwe tory, wydobywając na jaw autentyczne akty obu procesów (wydawnictwo Quicherat'a 1840-50 r.) Michelet i Chateaubriand oddają jej sprawiedliwość na najpiękniejszych kartach swych dzieł. Najznakomitsi lekarze wysilają się nad wytłumaczeniem tego fenomenu wizjonerstwa połączonego z tak spótygowaną wolą i intelektem — wyznając wkońcu

sami,²⁾ że nauka jest wobec tego zjawiska bezsilna.

Teraz dopiero zaczyna się cała powódź monografii, przyczynków biograficznych, broszur, pieśni, poematów, dramatów, malowideł i pomników.

Kłęska Francji w 1870 r. nadaje temu prądowi ton gorący, frenetyczny. Wskazując statuę na Placu Piramid, woła Paweł Déronléde:

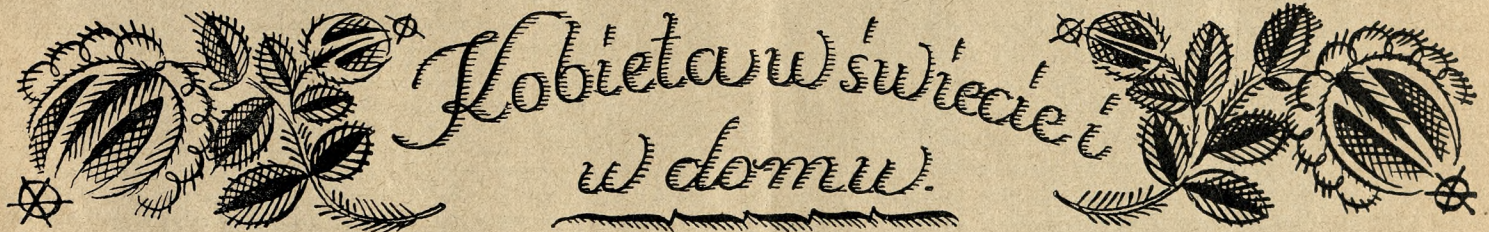
...Consacrons nos coeurs recenillis,
A Jeanne la Française, à Jeanne la Lorraine,
La patronne des envahis!

I nie tylko Francja, lecz cały świat cywilizowany, z każdym rokiem jaśniej widząc ogólnoludzką wartość tej wybranej duszy, wpatruje się coraz uważniej, skłania się przed nią coraz niżej. Ameryka i wszystkie kraje Europy poświęcają jej wyczerpujące studia. Nawet Anglja nie tylko już oddaje jej sprawiedliwość, lecz poczyną wysławiać z żywym uczuciem (T. de Quincey, A. Lang). Natchnione jej wezwania do wrogów, uraganiem przyjmowane niegdyś, znajdują dziś u ich potomków oddźwięk nieoczekiwany: pomnik Joanny w Anglji, to triumf bezinteresownej szlachetności nad szowinizmem.

Polska poświęciła dotąd Joannie dwie prace naukowe: Libelta (około 1840 r.) i księdza Górki w 1911 r. Pierwsza bardzo już przestarzała i ciężka stylowo, druga ze ściśle kościelnego wzięcia stanowiska i dziwnie mało znana — obie jednak ciekawe i wartościowe. W sztuce naszej natchnęła Dziewica Francji tylko wspaniałe płótno Matejki i kilka drobnych utworów lirycznych (Or-Ot, K. Zaleska, J. Wołoszynowski). (c. d. n.)

¹⁾ A. France.

²⁾ List dr. Dumas'a, w książce A. France'a.



INSPEKTORKI HIGJENY SZKOLNEJ WE FRANCJI

Pismo francuskie poświęcone sprawom szkolnictwa i wychowania, „La Revue Générale de l'Enfance”, zamieszcza w ostatnim swym numerze interesujące szczegóły o świeżo wprowadzonych w Tuluzie reformach w zakresie opieki nad higieną w szkołach powszechnych.

Tuluza podzieloną została na pięć okręgów szkolnych, liczących około dwóch tysięcy dzieci w każdym okręgu. Na czele każdego okręgu stoi lekarz-inspektor, mający do pomocy t. zw. asystentkę higieny szkolnej.

Na tej to właśnie asystentce spoczywa główny ciężar całej pracy inspekcyjnej. Praca ta jest zaiste olbrzymia, ale jakże pożyteczna zarazem! Mając pod swą opieką od tysiąca ośmiuset do dwóch tysięcy dzieci, asystentka musi nie tylko badać warunki higieniczne lokalów szkolnych, lecz czuwać nad każdym dzieckiem z osobna. Do niej należy prowadzenie ksiąg ewidencyjnych, w których zapisane jest każde

dziecko; posiada ono swoją odzielną rubrykę, w której notowane są każdorazowe oględziny jego przez lekarza (badanie takie musi się obowiązkowo odbywać raz na miesiąc), zapisywana waga, wzrost, oraz skrupulatnie notowane wszystko, co się odnosi do jego stanu zdrowia. W razie nieobecności któregoś z dzieci w szkole asystentka zostaje o tem poinformowana przez szkołę i udaje się natychmiast do domu dziecka, aby skontrolować, czy nie jest ono poważnie chore i czy nie należy zaraz zawiadomić go doktora. Od czasu do czasu odwiedza również asystentka rodziców, pozostających pod jej opieką uczniów i uczennic, by dawać im wskazówki higieniczne, czuwać nad warunkami sanitarnymi w domu dziecka, często także badać warunki materialne i w razie potrzeby wyjednywać pomoc w pieniądzu lub w naturze w Kasach Szkolnych lub Biurze Dobroczyńności.

Jeśli dodamy do tego, że asystentka musi być obecną przy każdym badaniu lekarskim dzieci szkolnych, prowadzić całą korespondencję urzędu inspekcyjnego, sporządzać co roku spisy dzieci słabszych

i wymagających specjalnej opieki, celem wysyłania ich na kolonie wakacyjne — będziemy mieli pojęcie, czem jest praca takiej asystentki. Wyniki tej pracy są bardzo duże, w przeciągu bowiem roku swej działalności inspektorki szkolne potrafiły nie tylko podnieść poziom higieny w szkołach i w domach prywatnych, lecz i zdobyć sobie także zaufanie rodziców, którzy bardzo chętnie zasięgają ich rad i przyprowadzają dzieci na inspekcję.

KONGRES KOBIECY W CHILI

W Santiago, Chili, odbył się poraz pierwszy kongres kobiecy, zwołany przez tamtejsze kobiece stronnictwo demokratyczne. Przedmiotem obrad kongresu były głównie sprawy oświatowe. Kongres wypowiedział się za podniesieniem poziomu wykształcenia ogólnego kobiet chilijskich, oraz zwróceniem specjalnej uwagi na uświadamianie w kierunku społecznym i politycznym.

BIBLIOTEKARKA WATYKAŃSKA

Pisma włoskie donoszą o mianowaniu przez Papieża pierwszej kobiety na stanowisko bibliotekarki przy Watykanie. Dotychczas stanowisko to zajmowali jedynie mężczyźni. Nową bibliotekarką jest pani Crostarossa Scipioni, należąca do znanej rodziny arystokratycznej włoskiej. Nosi ona urzędowy tytuł „Archiwistki papieskiej“.

REFORMY MAHATMY GANDHIEGO

Wielki reformator Indyj, Mahatma Gandhi, jest, jak wiadomo, gorliwym obrońcą praw kobiet. Dzięki jego usiłowaniom, w Indiach szerzy się obecnie nowa koncepcja moralna, zapewniająca kobiecie hinduskiej stanowisko bardziej samodzielne, niż dotychczas. Szczególnie wiele do zawdzięczenia mają Gandhiemu wdowy hinduskie, które do niedawna jeszcze stanowiły w tym kraju klasę najbardziej pogardzaną i zrównaną prawie z parjasami. Dzięki surowym przepisom rządu angielskiego, nieludzki zwyczaj palenia wdów żywcem po śmierci męża nie mógł się utrzymać, kobieta jednak, która utraciła męża, traciła jednocześnie z nim wszelkie prawa do życia osobistego. Zamknięta w domu rodziców, otoczona ogólną niechęcią i wzgardą, jako ta, która nie umiała dochować swemu małżonkowi pozagrobowej wierności małżeńskiej przez dobrowolne skazanie się na śmierć — nieszczęśliwa kobieta musiała rzeczywiście nieraz żałować, iż pozostała przy życiu.

Obecny projekt reformy, wniesiony przez Mahatme Gandhiego i mający za sobą wszelkie widoki przyjęcia przez ciała ustawodawcze, domaga się pomiędzy innymi następujących zmian:

- 1) aby dziewczęta poniżej lat piętnastu nie miały prawa wchodzić w związki małżeńskie;
- 2) aby dzisiejszym wdowom, które jeszcze nie ukończyły lat piętnastu, dozwoleń było wejść w powtórne związki małżeńskie;
- 3) aby młode kobiety, które wyszły zamąż w roku piętnastym życia, a ówdowiały przed siedemnastym, zachęcane były przez rodzinę do powtórnego zamążpójścia;
- 4) aby rodzice młodych wdów, które nie zechcą wyjść zamąż powtórnie, obchodzili się z nimi łagodnie i dbali o ich potrzeby zarówno duchowe, jak i fizyczne.

Z. B.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI:

„Liść figowy“ komedia w 3-ach aktach A. Fraccazoli.

Jeżeli mamy wierzyć panu Fraccazoli (a wierzyć mu musimy) to trzeba mieć nielada odwagę i zimną krew, żeby, będąc włochem i mieszkając w tym błogosławionym kraju, zaprosić przyjaciół na swoje wesele, Ludzie ci nie przyjdą po to żeby poplotkować lub powiedzieć parę złośliwości pod adresem nowożeńców, jak to się dzieje w innych krajach. Włoch (lub Włoszka) idzie na wesele z jedną jedyną myślą: spojrzeć własnymi oczyma na tych, którzy za chwilę i t. d. Atmosfera jest przesiąknięta daleko idącymi przypuszczeniami do tego stopnia, że nawet młode panienki czują się jakoś nieswojo (jedna chorowała nawet trzy dni po weselu siostry) i nikt nie jest w stanie o niczem innym mówić. Trochę się nam to wydaje dziwne, ale trudno: widocznie inny mamy temperament. Wesele, wesele w „porządnym domu“ jest atrakcją tak wielką, że panna Mirandolina, złotowłosa wenezyanka bez nazwiska ale mająca licznych przyjaciół, za wszelką cenę pragnie otrzymać zaproszenie. Dzięki podstępowi dostaje się na ślub Emmy, szybko zaprzyjaźnia się z młodziutką i naiwną panią i — staje się jej dobroczyńcą, udzielając fachowych rad popartych osobistą znajomością pana młodego.

Tyle o obyczajach włoskich mówi nam akt pierwszy komedji p. Fraccazoli. Przepraszam, Mówi nam coś więcej: młode panny we Włoszech czują wyraźną — i w ich pojęciu uzasadnioną — antypatię do mężatek. Taka pani nie tylko, że złapała męża i bałamuci cudzych mężów, ale odbiera pannom kawalerów, którzy wolą zwodzić mężatki niż żenić się z pannami. Stąd oburzenie panny Janiny, Lucyny, Floretty i innych. Panna Lucyna jest z nich najenergiczniejsza i najwyraźniej czuje wolę Bożą. Podświadomie kocha się w Robercie Diana i jej marzenia o mężu mają już kształt całkiem realny. Posłuchawszy przypadkiem, że Robert umawia się na schadzki z panną Santelli na godzinę czwartą, o wpół do czwartej dzwoni do drzwi jego mieszkania Służący, myśląc, że ona jest oczekiwaną nieznajomą, wpuszcza ją. Robert nie posiada się z gniewu: Lucyna gotowa nie wyjść na czas, zresztą, na co zda się komu wizyta niewinnej osiemnastoletniej panienki? Lucyna próbuje z początku upozorować swoje odwiedziny, ale wkrótce rzuca szczerze: przysłałam, bo wiem, że pani Santelli miała przyjść! Nie przyzna się coprawda, co ją skłoniło do odwiedzenia Roberta o tej porze właśnie, ale wykazuje tyle wdzięku, tak jest miła w roli „enfant terrible“ że Robert — wbrew swoim teorjom — zaczyna się do niej umizgać. Wejście pani Santelli wita Lucyna entuzjastycznie: los nie tylko wybrał ją z kłopotliwej sytuacji, ale pozwolił zakpić z „mężatki“ tego nienasyconego potwora i wroga dziewcząt. Robi honory domu ku utraپieniu Roberta i wściekłości pani Santelli. Wejście pani Mimi Gallardi (która przysłała zresztą do tego mieszkania na schadzki z kim innym) wprawia Lucynę w podziw, ale i w radość. Co za cudowny figiel! skompromitować naraz dwie mężatki, czyhające na niego!

Trzeci akt rozgrywa się w domu nowożeńców. Goście zebrali się znowu w jednym tylko celu: zobaczyć jakie miny mają nowożeńcy po powrocie z podróży poślubnej. Między zebranymi są pani Santelli i pani Gallardi oraz pan Robert. Sytuację, nieco naprężoną, pogarsza jeszcze zjawienie się Lucyny. Zuchwała panienka wita spokojnie swoje rywalki, a podniecona ich złośliwościami przyznaje otwarcie: byłam u pana Roberta! Konsternacja... Łatwo było pannie Lucynie przyznać się do błędu, ale bardzo trudno żyć z przeświadczeniem, że jest się skompromitowaną. Panią oddawna zakochaną w Robercie, wylewa na niego swój gniew i żal. Nigdy, nigdy mu tego nie wybaczy, że mógł i powinien był — a p r z e c z y ć! Na szczęście zjawia się pani Santelli; nie szczędząc bolesnych kpín i dwuznaczników, rzuca pannie Lucynie pytanie: „Kto się z tobą teraz ożenił?“ Paniąka bez namysłu odpowiada „on“ i wskazuje na Roberta, który wbrew oczekiwaniom gotów jest to uczynić i nawet błaga pannę Lucynę, by zechciała być jego żoną.

Oto treść komedji „Liść figowy“. tytuł jest dość zagadkowy; mówi coprawda o tym lisku rezoner sztuki, ale to powiedzenie ginie w powodzi innych nieciekawych aforyzmów na temat miłości i małżeństwa. Wogóle komedja Fraccazoli nie wnosi nic nowego ani interesującego i należy do sztuk fabrykowanych według starych i ogranych szablonów. Jedyną jej zaletą jest, że ma dwie doskonałe role: Lucyny i Roberta. W interpretacji pani Brydzińskiej i pana Różyckiego historia tych dwojga miała swój niezaprzeczony wdzięk i mogła nas zainteresować, ale to naprawdę raczej zasługa ich, niż pana Fraccazoli. Z innych wykonawców wymienić należy pana Kurnakowicza. Świetny ten komik zrobił swego Ludwisia skończonym matolkiem (niekoniecznie zgodnie z wolą autora) ale matolkiem tak prześmiesznym, że z chęcią darowaliśmy mu przejęskrawienie pewnych rysów.

Akt pierwszy nazwaćby można rewją nowych sił zaangażowanych na sezon bieżący. Rewja wypadła nieszczególnie. Jedynie może pani Nosarzewska miała w swojej grze miłą prostotę, Z. P.

MODY I ROBOTY



942.

943.

944.



945.



946.



948.



949.

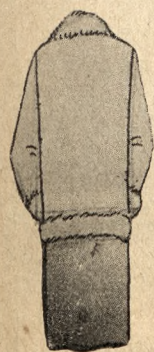


947.





950.



951.



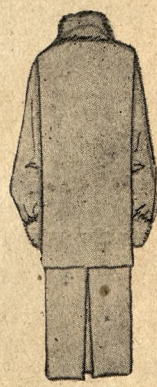
952.



953



954.

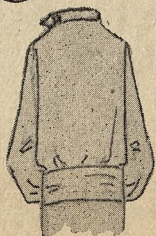




955.



956.



957



958.



959



960



962



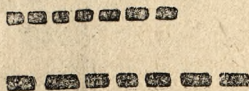
961



963



964



965





SUKNIA WYSZYWANA KRZYŻYKAMI

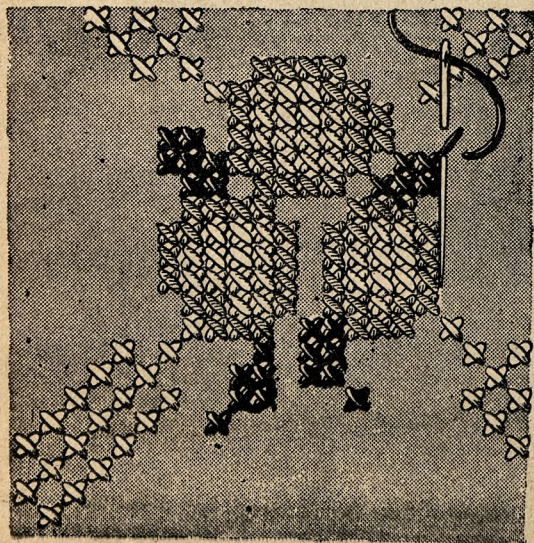


Haft krzyżykami jest zagranicą jednym z najmiej widzia-nych sposobów ozdabiania sukien. Dość pracowity, ale zato łatwy do wykonania daje śliczne efekty, jeśli go umiejętnie zastosujemy. Suknia tutaj podana jest ozdobiona takim właśnie haftem, a deseń, który załączamy jest prędko i łatwy.

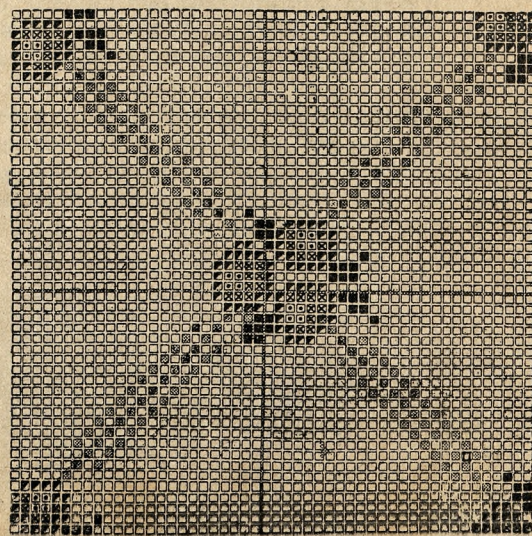
Spódniczka ułożona w cztery kontrafałdy oddzielone od siebie pasem wąskich fałdek musi być wyhaftowana tylko na wierzchniej stro-

nie kontrafałd. Deseń trzeba tak rozłożyć, aby bukiety wypadały naprzeciwko siebie, a kolory dobrać odpowiednio do barwy sukni. Haft taki może być wykonany

węlną, lub jedwabiem, zależnie od materiału, z którego suknia jest zrobiona. Wyszywać należy, podłożysz cieką kanwę, której nitki po skończeniu wyciąga się delikatnie. Rys. 1, wskazuje kawałek deseni naturalnej wielkości, rys. 2, całą kratę deseni w zmniejszeniu.



Rys. 1



Rys. 2

LIST Z PARYŻA

Moda na sezon zimowy 1926 roku nie zmieniła się radykalnie; zmiana nastąpiła raczej w szczegółach. Inaczej mówiąc, suknia, odpowiadająca wymaganiom chwili powinna wywoływać wrażenie sylwetki prostej, a nie „cloche“. Pomimo tej zasadniczej cechy wszystkie modele mają poły z ukosów, albo fałdy, albo plisowania, karbowania, albo inne jeszcze wycięcia, które przy chodzeniu nabierają wyrazu, rozszerzają się, jak wachlarz i dają to, co mistrz paryski, Lelong, nazywa suknią „kinetyczną“ (suknia w ruchu) (1).

Drugi szczegół, zasługujący na uwagę — z tyłu bluza wyrzucona — przód prosty, jak dawniej. Po bliższym przyjrzeniu się dochodzimy do wniosku, że suknia dzisiejsza jest tem, czem była: krótka wąska w biodrach, szeroka w ramionach, kołnierzyk wysoki, rękawy długie, stan, zawsze, poniżej bioder. Okrycia bywają często w formie reglanów, wielkie szalowe kołnierze, bardzo szerokie w górze, obcisłe u dołu.

Wśród kolorów króluje „le violine“, we wszystkich odcieniach od czerwonego do fioletu, a nadto czarny, ożywiony barwami „lingerie“, wreszcie czerwony i granat. Jako rodzaj materiału „crêpe georgette“ jest bezsprzecznie ulubieńcem sezonu.

Od Patou właśnie podaje model prosty, szykowny i elegancki z drapowanej georgette (2).

A pozatem pełno ensemble. Widziałam jeden taki ensemble u Dougny, mistrza arcy-paryskiego z ulicy Castiglione. Z sukna i aksamitu wykonany, w niebieskim kolorze ciemnych niezapominajek. Dyskretny haft podnosi wrażenie modelu, który tak wyjątkowo szczęśliwie łączy prostotę i wykwiint (3).

Wszystkie te nowe kreacje zostały zaprezentowane kupcom - komisjonerom, przybyłym do Paryża w tym celu ze wszystkich krańców świata.

Dopiero za kilka dni, może tydzień — dwa, kolekcja stanie się własnością publiczną, do łaskawej oceny Paryżanek, tłumnie wracających na zimowe leże po wakacjach.

Od niej jedynie, od Paryżanki, zależy ostatni wyrok mody. Powodowana wrodzonym smakiem wybierze ona z całego bogactwa pomysłów to, co najbardziej odpowiada jej będzie.

Gorąco nie do zniesienia. Zdawaćby się mogło, że to koniec lipca, niema czem formalnie oddychać w Paryżu — rozpalony asfalt parzy i przypieka nogi, a słońce bezlitośnie znęca się nad biednym mózgiem.

Szeregi aut nieprzerwanem pasmem stoją, jakby przykute do bruku, zapach pudru i benzyny, zmieszany ze smolnym zapachem rozgrzanego asfaltu, działają przytłaczająco na całą atmosferę. Pomimo pierwszych dni września, a więc właściwie, pomimo już zapadającej jesieni, Paryż nie przyjął jeszcze zwykłej swej fizjonomji, Paryż nie wszedł jeszcze w swoje łóżysko, z tej prostej zresztą racji, że Paryżanki królują jeszcze nad morzem i u wód. Na bulwarach krzyżują się wszelkie narodowości, z przewagą Niemców i Ameryki. Te wakacje i ociążałość, spowodowana upałem, są tylko pozorne, bo naprawdę Paryż pracuje bardzo intensywnie. Kolekcje zimowe już się ukazały i w pracowniach panuje wszędzie gorączkowy ruch, zapowiadający początek sezonu.

Z tytułu korespondentki obcokrajowej prasy, miałam okazję być obecną podczas repetycji zimowej kolekcji w kilku wielkich domach mody.

Jak na Paryż przystało, wszystko tu odpowiada dobrej tradycji — wszystko pełne wdzięku i dobrego tonu. Przepych kwiatów, bogactwo światła, jazz-band, dyskretnie podkreślający taką, czy inną fantazję krawieckiego kunsztu, a ponad wszystko szampan, mile dostraja się do ogólnego kamertonu.

To są ogólne wrażenia, bezsprzecznie ciekawe ale o ileż ciekawszą jest dla Was, Szanowne Panie, sama kolekcja. A więc, bez zwłoki, wróćmy do niej. Można być z góry przekonanym, że gust, na który się złożyła wiekowa prostota i dystynkcja, napewno nie zawiedzie. A więc cierpliwie czekajmy na wybór, bo w dobre oddany jest ręce.

Sekwa.



MIESZKANIE I JEGO KULTURA

Olbrzymim tematem jest tytuł „Mieszkanie i jego kultura“. Po przez wieki cywilizacji, doświadczeń, prób, doszliśmy do doskonałości dzisiejszego mieszkania (oczywiście zachód i Ameryka, a nie my). Ogromne ilości wynalazków z dziedziny techniki ułatwiają tam życie. Kultura wielu pokoleń, łącznie z nowymi zdobyczami wiedzy, wytworzyła bajeczny komfort Anglii i Ameryki. Ale odrzuciwszy całą historję apartamentu mieszkalnego, biorąc tylko to, co w tej dziedzinie posiada świat w chwili obecnej, od jednopokojowego mieszkania robotnika czy niezamożnego inteligenta — aż po pałace miliardów, otrzymamy nieprzebrany wprost materiał, materiał, o którym szerszy ogół inteligencji polskiej nie ma wprost pojęcia. Zastanówmy się bodaj przez chwilę nad potężnym ruchem w architekturze (i zespolonem z nią wnętrzem mieszkalnym) — po wojnie w państwach zachodnich. Ten kolosalny przewrót w pojęciu „domu“, te szeregi nowych pomysłów, związanych z nowym materiałem budowlanym, jakim jest żelbeton. Ten cały surowy, prosty, dyktowany nowym trybem życia styl mieszkań, zastosowany do wieku radja i aeroplanu. I oto my, tu w Polsce, mając wysoką kulturę pałacu, dworu wiejskiego i dawnego, zamożnego mieszkania miejskiego nie wiemy dziś nic, lub prawie nic o tych nowych prądach, Mniej zamożni śnią jak o zbytku o łaźnicy, gdy zachód nie rozumie najuboższego mieszkania bez wanny, a w dużych domach każda sypialnia posiada swą kąpiel. To co tam jest alfabetem, bez którego nie pojmuje się życia, u nas jest nieomal luksusem. Mając mało pieniędzy, kupujemy ohydny tandetę zamiast ślicznych, prościutkich, niepretensjonalnych mebli i przedmiotów. Zaś mając dużo pieniędzy, kupujemy ohydne luksusowe rzeczy w nieśmiertelnych stylach renesansu, ludwików, lub empiru, modernizowanych straszliwie, nudnych, przebrzmiałych, zamiast zbytkownych, wygodnych, celowych mebli współczesnych.

Nie znamy z tego nic, bo nikt nie popularyzuje, nie wystawia rzeczy nowych. Czasem jakiś projekt, jakiś odczyt, po którym ma się wrażenie, że mówiono o innej planecie, a nie o Europie.

Gdy się więc zjawiła zapowiedź wystawy „Mieszkanie i jego kultura“, powstała nadzieja, że może wreszcie przyjdzie i do nas potężna fala nowego kierunku, że może w porozumieniu z licznym zastępem naszych architektów, zarząd wystawy pokaże publiczności, jak się dziś mieszka, mebluje i żyje. Że może w szeregu modeli plastycznych, plansz i fotografii pokaże się dzisiejsze idealne mieszkanie od pokoju i kuchni po pałac-willę. Że może wielkie firmy meblowe dadzą nam szeregi całkowitych pokoi, pokoiów i salonów w rozciągniętej skali do różnych stanów posiadania zamożności i wymagań kulturalnych. Taka wystawa otworzyłaby oczy tłumowi, uczyłaby, doradzała... Tu dopiero byłoby miejsce na przemysł mieszkaniowy, na dywany i firanki, na brzozy, porcelanę, kryształ, lustra, na książki i batiki.

Tymczasem te przedmioty stały się osią wystawy; postawiono kropkę, a zapomniano o i, nad którą się znajduje. A i tu pominięto wiele działań, choćby porcelanę i fajanse. A jeśli do kultury miesz-

kania wliczono obuwie, czemuż nie pokazano futer, sukien i kapeluszy?

Cóż więc było na wystawie „Mieszkanie i jego kultura“?

Na obszernym placu Doliny Szwajcarskiej rozsypało się parę pawiloników, małych, skromnych, nic nieznaczących; tu kafle, tam miód. Zaś w środku placu, zawstydzony i samotny, banalnie brzydki i nieoświetlony stał pawilon lustrzany; ten, który mógłby być ozdobą całej wystawy, mógł się jarzyć jak klejnot wieczorem; lustra i elektryczność. Nawprost wejścia, na otwartej werandzie mieściło się to, co powinno było wszędzie dominować: całkowite umeblowanie trójpokojowego mieszkania z planem lokalu. Czy meble były ładne? To rzecz gustu, mogły się komuś wydać śliczne, lub ohydne, ale było to jedyne miejsce wystawy, gdzie zwiedzający znajdowali to, co im afisz obiecał.

Pod tarasem restauracji mieściły się dwie ciekawe salki. W jednej — wanny, umywalki i inne rzeczy lśniące bielą; rezerwoary do utrzymania ciepłej wody i wygotowywania instrumentów chirurgicznych. Obok wzorowa kuchnia gazowa. Prześliczna jak stoliczek, kuchenka na 4 fajerki z piecykiem; wanna przykryta stołem, podnoszonym i przyczepianym do ściany w miarę potrzeby (idealne dla szczupłego mieszkanka) i wiele innych doskonałych dla gospodarstwa inowacyj gazowych.

W bocznej sali mieściła się serja projektów architektonicznych najmłodszej generacji, jeszcze niezupełnie dojrzałej fachowo, lecz wiele obiecującej. Były tam rzeczy świetne, dobre i przeciętne. Co do jakiej kategorii zaliczyć, to już sprawa oglądającego, który może być w sztuce konserwatystą, lub postępowcem. Lecz uderzała rozbieżność, panująca pomiędzy projektami młodych, a tem co widzieliśmy tuż obok — wykonanego. W wielkiej sali, zabłąkał się wśród olśniewających standów firm znanych, mały modelik pokoju dzieciennego. Wykonany z wielką starannością i niemałym pewno trudem, był może brzydki w szczegółach, ale niesłychanie pouczający dla rodziców, przedstawiał pewnego rodzaju ideał. Ze też ponadto nikt, doprawdy, nie zdobył się na wystawienie w tej, lub większej skali modeli różnych pokoi mieszkalnych?

Pozatem były w paru miejscach standy z drogiemi meblami, od bardzo ładnych, do ohydny ze złoceniemi postaciami, dużo pięknych dywanów kilku firm, słynne obicia papierowe, imitujące atlas i skórę, firanki i batiki, wyroby z alabastru i drzewa, o bardzo różnym poziomie artystycznym, wełny i naczynia kuchenne, maszyny do pisania i perfumy, piece i krem piękności, salon sztuki z antykami i maszyna do prania rodzimego wynalazku; luksusowe książki i obuwie.

Były lalki, hafty, fatałaszkki, gramofony, radjo, wchłaniacze kurzu, telefony.

Całość świadczyła czem mogłaby być wystawa, gdyby wyczerpano temat, dano szerszy rozmach, bardziej urozmaicony poziom i trochę nowego prądu „Mieszkanianiu i jego kulturze“. Doprawdy należało pamiętać, że wystawy stołeczne dużego państwa, jakim jesteśmy nie mogą być wieczystie nieudanemi eksperymentami.

Z. de. K.

WYSTAWA OGRODNICZA W POZNANIU

Jubileuszowa Wszechpolska Wystawa Ogrodnicza w Poznaniu jest wprost rewelacyjna.

Na terenie olbrzymiego placu Targów Poznańskich, zabudowanego artystycznie i wzorowo, znalazła możliwość rozwinięcia całego wdzięku i przepychu, jakich po Wystawie tego rodzaju oczekiwać można.

Plac Wystawowy Poznański jest chlubą miasta i pozazdrościć go może nie tylko stolica Polski, ale każde miasto europejskie, dbające o swoją szatę zewnętrzną. To, czego zdołano dokonać w przeciągu roku ubiegłego, jest świadectwem planowej myśli, pracy pełnej szczerego zapału i wysiłku materialnego, imponującego szczególnie w ciężkim okresie ekonomicznym, jaki kraj nasz przeżywa w dobie obecnej.

Już z lotu ptaka wystawa ciągnie oczy i pobudza pełną zawsze żywej pożądlivosti ciekawość ludzką. Cóż dopiero, gdy wejrzymy w szczegóły, gdy zagłębimy się w feerycznych, barwnych i wonnych wnętrzach Pałacu Targowego, gdzie królestwo najcudowniejszych kwiatów i roślin stwarza atmosferę z bajki.

Wystawę rozpatrywać należy z dwóch zasadniczych punktów widzenia: olbrzymiej wprost wartości artystycznej i estetycznej, oraz imponującego dorobku ekonomicznego.

Na wolnym powietrzu rozsiadły się liczne grędy kwiatów jesiennych, odpornych na ostry chłód październikowych ranków i wieczorów.

Firmy ogrodnicze i wielka własność ziemska, dążące ku doprowadzeniu do doskonałości ogrodnictwa i kwiaciarstwa — czarują oczy nasze mnóstwem królewskich dalij, dziesiątkami odmian astrów i gladjoli, aksamitnymi wstęgami różnobarwnych bratków, fioletem wonnych heliotropów, połączenie i rozmieszczenie których stwarzają nienagannie estetyczną całość.

Doborem wspaniałych dalij od miniaturowych do olbrzymich szczyć się może majętność Borowo pow. Kościańskiego.

W małym ogródku zamkniętym ze wszystkich stron koronkową białą kratką misternych opłotków najsilniej przetrzymują wzrok aksamitne, prawie czarne płatki dalij Kaizer Heinrich i Edler-Mohr o drobnym kształcie i rysunku, jakim znaczone dawną saską porcelaną. Z większych tej samej barwy cudne są Jackson'y, gorącym szkarłatem grają w słońcu ogromne kwiaty, odmiany Emmy, z pomarańczowo-ceglastych rzucają się w oczy Orangekönigin, Prablhas i Rhekgan, ciepłą łososiową barwą pieścżą wzrok olbrzymie gwiazdy odmiany Wilkomm. Spamiętać, a nawet zanotować wszystkie byłoby rzeczą wprost niemożliwą, te jednak, które tu podaje, należą do rzędu zasługujących na specjalną uwagę miłośników...

Prócz szeregu ogródków usianych ciekawymi okazami roślin i kwiatów, na wolnym powietrzu znajduje się jeszcze wzorowy cmentarz. Jest on doskonałym wyrazem pieściwego starania, jakim w Poznaniu otaczać zwykli ludzie mogiły tych, co śnią w cieniu olbrzymich drzew spokojny sen wieczności. Cmentarze poznańskie — to cudne ogrody tonące w kwiatkach, owiane wonią róż, bzów i akacji, otulone krzewami śnieżnych jaśminów, usiane szkarłatem pelargonij, strzeżone melancholją tui i cyprysów.

Wzorowy cmentarz, jaki pokazują nam na Wystawie Ogrodniczej, to miniaturowe odzwierciedlenie tego kultu i miłostnego starania, którym tchną cmentarze tutejsze.

W budynkach placu wystawowego jest tyle do zwiedzenia i tyle do zanotowania, że doprawdy wierne oddanie całości wymagałoby syzyfowego wysiłku, zadolnić się zatem muszę skreśleniem ogólnego zarysu, inaczej śpiewałyby trzeba pochwalny hymn wibrujący zachwytem — hymn bez końca.

W pawilonie Państwowych Kursów Ogrodnictwa w Poznaniu — strojnym w okazy cudownie i umiejętnie hodowanych kwiatów cieplarnianych, wśród woni i barw niezliczonych kwitnących begonij, chryzantemów, primul i cyklamenów wtulonych w zielen najcudowniejszych koronkowych paproci; objaśnienie udziela jedna z absolwentek Kursów, której szczerzy entuzjazm i umiłowanie podjętej pracy udzielają się wkrótce. Od niej też dowiaduję się szczegółów o tej wzorowo postawionej i świetnie prowadzonej placówce.

Prócz nienagannie hodowanych roślin cieplarnianych, o bujnej, zdrowej i wspaniałej wegetacji, pawilon zaciekawia artystyczną kolekcją tablic ręcznie wykonanych przez p. Kołomołocką, asystentkę Kursów, a stanowiących bezcenną pomoc szkolną w dziedzinie drzewoznawstwa, oraz projektów budowy i urządzeń wzorowych szklarni. Znajdują się też liczne, a bardzo ciekawe tablice traktujące o najgroźniejszych szkodnikach róż, winorośli i owoców.

W Pałacu Kwiatowym na każdym kroku spotykamy nowe cuda.

Wspaniały dobór storczyków, paproci i gigantycznych palm, hodowanych z nasienia przez firmę Ulrich z Warszawy, obrzeżony wstęgą śnieżno-białych rabatki utkanych główkami dalij — zaczarowane królestwo doniczkowych roślin w rozkwicie składających się na olbrzymi usiany barwnymi kobiercami ogród kwiatowy — z klombów którego strzelają bogate kule nieznanych dotąd odmian hortensji, co, niby uroczone lamby Alladyna, królują nad bajką zaklętą w realny kształt wysiłkiem pracy twórczej. Ten niezapomniany wspaniały rzut oka dały nam zakłady ogrodnicze firmy Henstchel, Toruń — Mokre.

Dział dekoracji wnętrz, doprowadzony do maximum artystycznego efektu wspólnym trudem panów Sroczyńskiego — meble i Brucha — kwiaty (firmy Poznańskie) pozwala nam zachwycać się salonikiem panny młodej, w którym na tle prześlicznego stylowego urządzenia zgromadzono kwiatowy hołd, jaki w tym dniu słonecznym i jasnym, grono życzliwych złożyło u stóp wybranej.

Dalej, pokój utrzymany w stylu swojskim — pełen lakierowanych mebli wzorzyste krytych, pasiaków, kilimów i barwnego kwiecia, a wreszcie dwie jadalnie gustownie urządzone i strojne stołami zdobnymi przepychem owoców i kwiecia. Dekoracja nadzwyczaj pomysłowa, stylowa i artystyczna.

Bukieciarstwo reprezentowane licznie i ciekawie, świadczy o dużym wyrobieniu artystycznym, jakiego wyrazem są dobrze pomyślane zestawienia barw i tła.

Przechodząc do działu owocowego, warzywnego, nasiennictwa, bartnictwa i przetworów — przyznać



trzeba, że eksponaty są dowodem zorganizowanej i planowej pracy, której imponujące wyniki stawiają produkcję naszą w rzędzie tych, z którymi poważnie liczyć się trzeba.

Ciekawe dorobki widzimy z dziedziny hodowli winogron, tak gruntowej, jak i pod szkłem. Piękne i bogate grona winogron zielonych, żółtych i czarnych, o dużych soczystych jagodach, eksponuje Dominium Gułtowy i Czarnotki hr. Bnińskiego.

Szkoła ogrodnicza w Tarnowie wystawia wspaniałe gatunki owoców, bogaty dobór nasion i przetwory, pod postacią win, miódów i nalewek.

Pani Wanda Jasińska z Kresów (maj Tudorów — p. Hoszcza — pow. Równe) daje pokazem swoim obraz wytrwałej i umiejętnej pracy, stwarzając w najtrudniejszych warunkach, bo zaledwie 5 klm. od granicy bolszewickiej, na ziemi przez którą przeszedł ogień i miecz, produkcyjny warsztat pracy twórczej. Widzimy tu jedwabniki, owoce i warzywa, świeże i suszone, wszystko w pierwszorzędnym gatunkach.

Na czoło działu warzywniczego i nasiennego wysuwa się bezsprzecznie firma Hoser z Warszawy, która nie tylko imponuje ilością i gatunkiem eksponatów, ale i podaniem ich w nad wyraz estetycznej formie.

Wspaniałe wyhodowane warzywa widzimy też w pawilonie firmy Tomiak z Poznania. Wogóle dział warzywniczy obelany jest bogato, wprost imponująco. Nasiennictwo w okresie powojennym wykazuje też poważny krok naprzód, tak w dziedzinie warzywnictwa, jak kwiatowej i lekarskiej.

Umiejętnie i wzorowo suszone zioła lekarskie wystawił p. Michał Nosal z Bubnowa pow. Włodzimierz Woł.

Zaleszczyki pokazują nam ciekawą i rzadką kolekcję, złożoną z dwudziestu pięciu gatunków papryki, o najrozmaitszych kształtach i wielkości, oraz wspaniałe owoce, z produkcji których znane są w całej Polsce.

Doborowe gatunki owoców eksponuje też Dominium Gałowo, hr. Mycielskiej, oraz Wrzesińskie Koło Ziemianek.

Nad wyraz ciekawie przedstawiają się eksponaty ogródków działkowych, o istnieniu których w Pozna-

niu pisałam już w przeszłym roku. W jednej z wnek bocznego pawilonu wystawowego na małych stolikach widzimy jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Po kilka sztuk wspaniałych gatunków gruszek i jabłek, miniaturowe koszyczki okazowych warzyw, słoiki i flaszeczki z konfiturami, oraz sokami owocowymi. Gdzieś widać wiązanek skromnych kwiatów. Zważywszy, że wszystko to hodowane jest rękami ludzi ciężko pracujących na kawałek chleba, że poświęcić mogą tej umiłowanej pracy zaledwie krótkie chwile, jakie zbywają im od wyczerpującej walki o byt, patrzymy na dział ten ze specjalnym zaciekawieniem i nie bez domieszki uznania dla wysiłku, który świadczy o szlachetnych zamiłowaniach tych, którzy go podjęli,

Ciekawie przedstawia się też dział racjonalnego i umiejętnego pakowania owoców, w którym pokazano nam najrozmaitsze sposoby — od najzwyklejszych, stosowanych do wspaniałych owoców południowych, które przychodzą do nas w niewielkich skrzynkach, a estetycznym opakowaniem ciągną oczy w witrynach luksusowych magazynów, aż do najprostszych, a praktycznych systemów pakowania owocu krajowego, tak, aby odporny na wstrząsy transportu dochodził do rąk kupca i odbiorcy w stanie zadawalającym.

Trudno pominąć milczeniem dział konserw owocowych i warzywnych, w którym pierwsze miejsce zajmuje wytwórnia Pudliszki.

Wystawa zorganizowana jest wzorowo. Nie brak też najrozmaitszych atrakcji, jak orkiestry wojskowej, przygrywającej w godzinach rannych i południowych, oraz zespołu Namysłowskiego, który w południowych godzinach gromadzi dokoła siebie liczne grono zachwyconych słuchaczy. Nie zapomniano też o rozrywkach dla najmłodszych, dając im do użytku kuky, na których jeżdżą konno ku wielkiej swej uciechy, teatr marionetek i stację Czerwonego Krzyża, gdzie dyżurujące panie zasilają apetyt rozbawionej dziatwy wyborowym mlekiem i biszkoptami, czuwając nad wesołą gromadką zgromadzoną w Wieży Górnośląskiej, podczas, gdy rodzice swobodnie oglądają wszystkie nagromadzone cuda Wystawy, która w pamięci zwiedzających zapisać się musi złotymi zgłoskami zachwyty i najszczerzego uznania. *Wanda Dobrzańska.*

NA KORCIE TENNISOWYM

(Rady i wskazówki mistrzyni świata, panny Zuzanny Lenglen.)

A teraz przeczytajmy z uwagą rady udzielone na łamach różnych dzienników i tygodników europejskich przez sławną mistrzynię świata pannę Zuzannę Lenglen. Wskazówki te dla początkujących adeptek tenisa będą bezcenne jako udzielone przez osobę niedoścignioną w swoim zawodzie: „Aby grać w tenisa, przede wszystkim trzeba mieć dobrą rakieta i piłki, wybór których ważniejszym jest niż to ogólnie przypuszczają. Zły gatunek rakiety, zbyt wielki jej ciężar, rama nie dość wytrzymała, struny zanadto albo za mało wyprężone, przeszkadzają w postępach grającym i często są jedyną przyczyną miernej gry. Jeżeli rakieta jest za ciężka, aby nią obracać swobodnie, trzeba kurczyć dłoń na rękojeści, z czego wynika prędkie zmęczenie nie tylko dłoni ale palców i nawet całego ramienia. Dobra rakieta nie powinna ważyć więcej jak 360 do 380 gr.

Ciężar jej powinien być równo rozłożony między rączką, jej wydłużeniem a ramą — to znaczy że położona na jednym palcu w miejscu, gdzie jest śruba utrzyma równowagę. Z trzech grubości strun, cienkich średnich i grubych — średnia jest najlepsza, Struny nie powinny być naciągnięte do tego stopnia, aby straciwszy wszelką elastyczność formowały sztywną jak deska powierzchnię, pewna giętkość jest niezbędna, aby piłki mogły być chwyte i odbijane według życzenia. Wielu grających narzeka, że nie mogą wygodnie utrzymać zbyt śliskiej rączki od rakiety.

Owinąć ją można pasami zamzu lub cienką taśmą gumową — nigdy gutaperką, bo ta prędko rozgrzewa się i zdiera. Każdy chyba wie o tem, że rakieta po grze trzeba stale trzymać w prasie. Jeżeli piłki wskutek długiego używania, pobrudzą się i przez to tracą elastyczność trzeba oczyścić je ostrą szczot-

ką a następnie natrzeć suchą gliną. Tak natarte zostać w spokoju przez kilka dni, po których znów mocno wyszczotkować a piłki zrobią się z powrotem białe i elastyczne, jak nowe.

Początki w tenisie są ciężkie, postępy robi się bardzo powoli. Co wydaje nam się łatwe i takie proste w rzeczywistości, jest bardzo trudne, trzeba bardzo pracować, aby dojść do pewnej chociaż doskonałości.

Dla ułatwienia tego zajmiemy się przede wszystkim układem ręki, bo dobrze ułożona ręka stanowi podstawę dobrej gry. Dłoń i palce powinny leżeć więcej wzdłuż jak w szerz rękojeści rakiety, jaśniej określając, wyciągnięta ręka i rakieta powinna tworzyć linię prostą. W takiej postawie łatwo przyjdzie, nie odczuwając najmniejszego zmęczenia, przestawić raketę z przodu na tył i odwrotnie. Następnie trzeba wprawiać się we władanie raketą — robiąc ruchy śmiałe. Gra się w piłkę urojoną, trzyma się na linii serwisu trochę na skos nogę lewą nastawioną w kierunku linii, którą piłka ma przebiegać. Skoro uderza się piłkę, trzeba całym ciałem podać się naprzód, uważając aby ciężar ciała dźwigała lewa noga dla ułatwienia ruchów prawej ręce.

Dopiero po dokładnym wprawieniu się w uderzenia z prawej strony, trzeba próbować wykonania uderzenia odwrotnego, robiąc dokładnie to samo na odwrot, dłoń jednak utrzymuje się zawsze w tem samym położeniu na ręczce od rakiety.

Jeżeli piłka leci z lewej strony trzeba ją odbić z dołu do góry, to uderzenie nie ma rozpędu, zasada się jedynie na poruszeniu od tyłu do przodu.

Dla ściślejszego określenia powiedzmy, że trzeba wyciągnąć ramię, prosto przed siebie, dłoń odwrócić do ziemi, następnie cofnąć ramię trzymając zawsze wyciągniętą rękę od łokcia do dłoni, uważając aby łokieć dotykał ciała; lewą ręką trzyma się raketę za górę ramy pod prostym kątem z ziemią — rękojeść rakiety trzeba ująć prawą ręką, tak aby duży palec był z tyłu, oto jest chwyt do idealnego odbicia piłki. To uderzenie z powietrza jest ogólnie słabą stroną graczy jedynie dlatego, że nie umieją trzymać rakiety.

Tennis zasada się na sześciu podstawowych uderzeniach, nie spotkałam gracza, któryby wykonywał wszystkie z powodzeniem.

A teraz przypatrzmy się uderzeniu poziomemu Piłka chwycona jest w chwili kiedy znajduje się pra-

wie u szczytu linii przelotu, trzeba ją odbić na pole gry przeciwnika uderzeniem poziomym, zwanem „drive poziomy”.

Zaczynając naukę gry w tenisa, przez dłuższy czas trzeba pracować nad przyswojeniem sobie zasad gry a nie walczeniem w rozgrywkach. Ćwiczyć się trzeba w uderzeniach poszczególnych dopóty, dopóki nie dojdzie się w nich do doskonałości i nie przechodzić za wcześnie z jednego w drugie. Jeżeli mamy rozgrywać mecze trzeba przedtem przyłożyć wszelkich starań, aby wydoskonalic się w zmianach gry. Lepiej jest wyrzucić piłkę po za pole gry współzawodnika, niż rzucić ją w siatkę, Początkujący gracze powinni jaknajdłużej trzymać się linii granicznej

Uderzeniem podstawowym gry w tenisa jest uderzenie pod kątem prostym, składają się na jego udatność trzy reguły: nie spuszczać piłki z oka, dopóki nie dotknie rakiety, nie podbiegać za prędko do piłki, grać prawem ramieniem. Grać z łokciem złożonym w tem uderzeniu, znaczy stracić nie tylko na szybkości, ale i kierunku.

Podczas chwilowej nieczynności oprawę rakiety powinna podtrzymywać lewa ręka, żeby łatwo można zmienić pozycję i przejść z uderzenia pod prostym kątem w odbicie z powietrza.

Serwowanie jest atutem w rozprawie — trzeba pamiętać, że serwując napada się, a nie broni. Już pierwszą piłkę trzeba wykorzystać w kierunku wygranej, nie powierzając dalszym piłkom losów rozgrywki.

Serwowanie w średnim tempie, więcej jest warte niż serwowanie błyskawicznie szybkie, które często kończy się zaplątaniem w siatkę.

Ideałem każdego grającego powinien być silny rzut pod tak małym kątem, by piłka przeleciała prawie nad samą siatką.

Wogóle przy grze należy śledzić bacznie przeciwnika a następnie rzuconą przez niego piłkę, starając się odgadnąć, gdzie upadnie. Kiedy zaś spada zdala od grającego, trzeba podbiec i starać się odbić ją w miejsce, na które najmniej zwraca uwagi.

Najlepiej dawać z początku dalekie rzuty żeby wepchnąć przeciwnika w kąt wielkiego prostokąta i zmusić go do czekania tamże na piłki, a wtedy zacząć odbijać tak aby piłki padały przy samej siatce jak najdalej od niego — aby nie mógł w porę dobiec i odbić. Tak mówi mistrzyni świata, której w ostatnich czasach Ameryka ofiarowała za pewną ilość meczów skromną sumkę stu tysięcy dolarów. J.S.

WARUNKI OPŁACALNOŚCI CHOWU DROBIU

W każdej dziedzinie wytwórczości podstawą zysków jest należyta kalkulacja, która pozwala nam ściśle zorientować się, do jakich rozmiarów możemy powiększyć i jaki kierunek nadać naszej produkcji. Niestety, niewiele mamy dotychczas przedsiębiorstw, które opierają się na dokładnym obliczeniu i rozważeniu wszelkich możliwości, pomimo, że każdy już dzisiaj rozumie konieczność ścisłej kalkulacji. Zwłaszcza gospodarstwa rolne pozostawiają pod tym względem wiele do życzenia, a z całokształtu gospodarstwa najmniej liczy się z dokładnym rachunkiem działu kocięcy. Jakże często, naprzykład, zdarza się widzieć brak obliczenia, ile należy zużyć mleka na obiad dla

potrzeb domu. Nie każda gospodyni zastanawia się nad tem, ile przez to litrów mleka mniej odsyła się do mleczarni i wiele nabiału zużywa się w sposób rozrzutny ponad normę, „bo przecież trzeba coś z tem zrobić”. Często też rozpoczyna się karmienie tuczników w takiej ilości, że nie starcza wkrótce paszy i trzeba sprzedawać sztuki niedokarmione, albo kupować drogą karmę. Zdarza się również, że tuczymy opasy nieracjonalnie i pozornie taniej, a natomiast zbyt długo.

Wszystko to obciąża bardzo poważnie nakłady, a częstokroć redukuje zysk do zera, lub powoduje nawet deficyt.

Bodaj najczęściej spotykamy się z takim postępowaniem „poomacku“ w dziedzinie chowu drobiu, dlatego też nieraz można słyszeć utyskiwania na nieopłacalność tego działu gospodarstwa. Niejedna gospośnia ma fałszywą ambicję wychowania mnóstwa drobiu, a nie pomyśli o tem, czy będzie mogła zapewnić mu należyte warunki. Stanowczo lepiej się opłaca wychowanie mniejszej ilości doborowych, lub choćby tylko dobrych sztuk, niż wiele miernoty. O ile chcemy mieć dochód z gospodarstwa drobiowego, musimy rozpatrzyć najpierw dwie zasadnicze sprawy: jaki mamy rynek zbytu, to zn. na jaki drób będzie największy popyt, i dla jakiego rodzaju drobiu najlepiej się nadają nasze miejscowe warunki. Jeżeli mamy gospodarstwo w pobliżu dużego miasta, możemy wówczas śmiało liczyć na zbyt wszelkiej ilości i w każdej porze. Inaczej sprawa się przedstawia, jeżeli mamy w pobliżu letnisko lub miejscowość kuracyjną. W takim wypadku opłaca się bardzo wychów na dużą skalę kurcząt z rasy mięsnej, szybkoorosnącej. Najodpowiedniejsze będą nasze zwykłe swojskie kury, zwłaszcza o ile będziemy sobie dobrać do rozplodu sztuki duże, mięsiste i nośne.

Kurczak dwumiesięczny, dobrze odżywiony, nadaje się już do zbytu, powinniśmy więc nasadzać kwoki aż do lipca, by sprzedać ostatnią partję we wrześniu, zanim zamrze ruch zupełnie na letniskach. Dobrze jest mieć wypróbowane nasiadki indyczki, które można zawsze zmusić do wysiadywania. Uniezależniamy się w ten sposób od „fantazji“ kur, które nie każdego roku zdradzają jednakową chęć do macierzyństwa. Naprzykład w mojem gospodarstwie w roku ubiegłym na 107 kur siedziało do połowy maja zaledwie pięć kwok. W takich warunkach opłacałoby się doskonale sztuczna wylęgarnia. W sąsiedztwie letnisk poszukiwane są również młode mięsne kury i młode kaczki. Jeżeli nie mamy w pobliżu bezpośredniego rynku zbytu, najlepiej jest drób tuczyć lub przerabiać i wysyłać do miast, jako towar pierwszorzędny. Trud poniesiony opłaca się przytem dobrze, a zwłaszcza przy zbyciu przetworów drobiowych.

Nabywają je bardzo chętnie bary i restauracje. Oczywiście najkorzystniej jest założyć własny lub spółkowy sklep, który opłaca się, jeżeli mamy uczciwy personel i dostarczamy towar regularnie i w doborowym gatunku. Sprawa sklepu jest jednak zwykle dość skomplikowana, nie radzę więc zbyt obciążać się tak absorbującym środkiem zbytu.

Każde gospodarstwo drobiowe może zawsze liczyć na dochód z jajczarstwa, trzeba jednak wówczas specjalnie starannie dobrać sobie kury nośne.

Zakreślając sobie plan produkcji drobiu, musimy liczyć się z pewnemi dość poważnemi nakładami, które są konieczne, aby zapewnić naszym wychowankom możliwie najlepsze warunki, a przez to dobry ich rozwój. Przedewszystkiem należy im dostarczyć odpowiednich pomieszczeń suchych, przewiewnych i ciepłych. Niejedno gospodarstwo posiada już kur-

niki dobre, jeżeli nie, to należy się starać, aby nowe stawiać możliwie najekonomiczniej. Ja naprzykład miałam kurniki przybudowane między oborą a chlewnią, nie kosztowały one zbyt drogo, a okazały się tak ciepłe, iż nie trzeba było ich w zimie ogrzewać i kury niosły się doskonale. W niejednem gospodarstwie możnaby podobną przybudówkę tanio uskutecznić. Drób koniecznie musi mieć swobodę ruchów. Jeżeli musimy z różnych względów ograniczyć wolność naszego ptactwa, odgradzajmy chociaż dość znaczną przestrzeń.

Drób chowany w małych zagrodach i klatkach nie da nigdy pożądaných rezultatów.

Ważną sprawą jest przygotowanie odpowiednie co do ilości i jakości paszy, aby starczyło nam aż do nowej. Poślednie zboża, przeznaczone zwykle dla drobiu, najczęściej nie wystarczają, musimy zatem pamietać, aby zaraz na jesieni oddzielić na śpichrzu (w razie potrzeby dokupić), brakujące ziarno. Odkładanie tej sprawy na później wprowadza potem niepotrzebny zamęt zarówno w budżecie drobiowym, jak i zbożowym.

Nie zapomnijmy zaopatrzyć się również w ziemniaki i inne okopowe.

Sposobów karmienia obecnie nie podaję, gdyż mówiłam o tem już niejednokrotnie w innych artykułach. Przypomnę jedynie zasadę, że jeżeli chcemy osiągnąć dobre rezultaty, musimy zadawać karmę odpowiednią bardzo regularnie i w ilości wystarczającej. Handlowanie głodem zawodzi w każdej dziedzinie.

Podstawą powodzenia przy chowie drobiu jest bardzo staranna opieka i dobra obsługa. Musimy wyszkolić sobie odpowiednie oprzętki, dobierając cierpliwe, czyste i lubiące zwierzęta kobiety. Aby skłonić je do porządnej pracy, dobrze jest zainteresować je w zyskach procentami lub premjami. Nie ludźmy się jednak, że nawet najlepsza obsługa będzie sprawnie działać bez należytej kontroli. Praca oprzątek jest dość złożona i drobiazgową, wymaga przestrzegania czystości i punktualności, to też zaniedbują się one częściej niż inne robotnice, mające nawet cięższą pracę.

Pamiętajmy, że opieszałość oprzątek mści się na naszych zyskach.

Warunki miejscowe wywierają zawsze duży wpływ na kierunek gospodarstwa drobiowego. Jeżeli np. posiadamy w pobliżu wodę, możemy z powodzeniem chować wodne ptactwo. Jeżeli są odpowiednie łąki — polecam usilnie chów gęsi na dużą skalę. Mała ilość gęsi, do których nie opłaca się mieć pastuszka, daje straty. Gęsi chodzące samopas wyrządzają więcej szkód, niż same są warte. O ile mamy dużo przestrzeni, jakiś stary park, zadrzewione pastwiska i t. p. — warto zaprowadzić chów indyków, które dostarczenie im dobrych warunków nagradzają dużemi zyskami. Kury można chować prawie w każdych warunkach.

Baczną uwagę trzeba zwrócić na dobór odpowiednich ras drobiu. Dla orientacji podaję wykaz czę-



ściej u nas spotykanych ras kurzych, z zaznaczeniem wartości nośnej i mięsnej: Kury włoskie (kuropatwii) b. nośne, mało mięsne. Minoriki — nośność b. dobra, słabo mięsne. Orpingtony — nośność dobra, mięsne. Plymouth — Rack — nośne, bardzo dobre mięsne. Wyandotty — średnio nośne, mięsne. Na największą uwagę w naszych warunkach zasługuje rasa polska zielononózek. Przytaczam o niej zdanie prof. Victorini'ego: „Rasa nadzwyczaj nośna, jaja średniej wielkości... b. smaczne. Zielononózki dostarczają nader delikatnego, soczystego mięsa, o smaku zbliżonym do smaku dziczyzny. Kury znakomicie wyśiadują, są troskliwymi matkami, wodząc długo swe kurczęta, które energicznie bronią przed napastnikami. Nadzwyczaj wytrzymałe na zimno, nie podpadające chorobom i nadzwyczaj niewybredne w pożywieniu, które zazwyczaj sobie same wyszukują“.

Ważną sprawą jest zbyt produktów gospodarstwa drobiowego we właściwym czasie, kiedy można uzyskać najlepsze ceny za swój towar, przy względnie najmniejszym nakładzie. Jeżeli drób ma wszystko, co mu potrzeba, można ściśle obliczyć kiedy będzie się nadawał na zbyt. Ścisłe obliczenie pod tym względem przyczynia się w znacznej mierze do oszczędności w nakładach, a tem samem do zwiększenia ży-

sków. Pamiętajmy, że każdy dzień żywienia, nawet jednej sztuki, kosztuje! Ile zyskamy na sprzedaży produktów w najkorzystniejszej dla nas chwili, mamy przykład na jajach. Powinniśmy je przechowywać na zimowe miesiące, kiedy uzyskuje się za nie wysokie ceny. Najwcześniej można zacząć przechowywać jaja w końcu sierpnia; wcześniejsze dają duży procent zepsutych. Istnieją liczne sposoby konserwowania jaj. Kogo te sposoby interesują, niech przejrzy broszurę p. Zacharskiego p. t. „Technika jajczarska“. Podam jedynie bardzo praktyczny sposób gospodarski przechowywania jaj.

Otóż należy układać je w skrzynce, przesypując jakimś ciałem sypkiem tak, aby nie dotykały do siebie. Można użyć w tym celu mytego piasku rzecznoego, doskonale wysuszonego, bardzo suchych trocin, lub choćby suchego zboża, które nie traci przez to nic ze swej wartości. Sposób ten wypróbowałam i dzięki niemu mam zwykle jaja świeże, przechowywane od sierpnia aż do okresu Bożego Narodzenia i później. Zaznaczam, iż skrzynka stać musi w miejscu suchem, chłodnem i przewiewnem, nienarazona na mróz.

W następnym artykule podam szczegółowe sposoby tuczenia drobiu i wyrób przetworów, w celu podniesienia zysków z gospodarstwa drobiowego. H. B.

„JAKĄ KUCHNIĘ MIEĆ BYM CHCIAŁA“

Brak mieszkań, zły ich rozkład, przestarzałe urządzenia są powodem, że wszystko, co z mieszkaniami, z gospodarczymi urządzeniami ma do czynienia, staje się specjalnie interesującym, aktualnym.

Wiemy wszyscy, jak fatalnie nieudane były tak zwane „mieszkania wzorowe“, na wystawie „Mieszkanie i jego kultura“, zresztą ładnie urządzonej i dobrze obsłanej. W tem wzorowym mieszkaniu, może najlepiej urządzoną była kuchnia, jest to zupełnie zrozumiałe, wszystkie techniczne urządzenia, to jest: blacha, piecyk i t. p. pochodziły z warszawskich zakładów gazowych, które we własnym, doskonale rozumianym interesie coraz to bardziej udoskonalają wszystkie, dające się opalić gazem przyrządy, rozpowszechniają odpowiednie do gazu naczynia i narzędzia gospodarcze i kuchenne, a nawet bezinteresownie uczą, panie, i służące posługiwania się temi przyborami.

Mebelki kuchenne, białe lakierowane, też były estetyczne i łatwe do utrzymania w czystości. Były to jednak „mebelki“ łatwo łamiące się, niszczące, zbyt filigranowe. Do kuchni lepiej pasują „sprzęty“, niż meble, gdyż mało gdzie jeszcze gotuje i króluje w kuchni gospodyni, pani domu sama. Mamy jeszcze dużo pomocnic, których brak tak zagranicą już wszędzie odczuć się daje, ale ponieważ pomocnice te żadnych kwalifikacyj do spełniania swych zajęć przeważnie nie posiadają, każdy przyrząd skomplikowany, elegancki, lżejszy ulega natychmiastowemu zniszczeniu.

Sprzęty lakierowane na białe, szorowane energicznie szcztoką z sodą po paru tygodniach tracą swą lakierowaną powierzchnię, naczynia aluminiowe pod wpływem tejże sody dostają dziurek w dnie, bufecik się paczy i niedomyka, stołki i krzeselka tracą nogi a białe skrzynie do węgla stają się równie czarne jak ich zawartość.

Urządzenie kuchenne musi być takie, aby się mogło oprzeć niszczyielskim porządkom naszych Marys i Jagus.

Gdybym jeszcze kiedy w życiu miała mieć dom własny, taki zupełnie własny, — nie kupione za drogie pieniądze prawo do mieszkania w żydowskiej kamienicy, gdzie właściciel i administrator tylko czekają tego 28 roku, kiedy ochrona lokatorów wygaśnie, aby odebrać mieszkanie wraz z wszelkimi wprowadzonymi ulepszeniami, a w oczekiwaniu tej dla nich rozkosznej chwili, na każdym kroku robią przykrości i szykany. Otóż, żebyśmy miała ten dom własny, przede wszystkim urządziłabym sobie kuchnię taką, w której bez przykrości i bez zbyteńnego zmęczenia ja sama czy ktoś z rodziny mojej mógłby gotować, lub chociaż smażyć konfitury, piec ciasto i wykonywać inne czynności domowe, które mimo licznej nieraz służby, dobra gospodyni sama wykonywa lub przynajmniej dozoruje. Jednocześnie zaś wszystkie sprzęty, wszystkie statki i same ściany kuchni chciałabym mieć takie, aby się mogły równie skutecznie oprzeć nieporządkom, jak i porządkom mojej ewentualnej pomocnicy, tak jednym, jak i drugim, bo nieraz porządki zapamiętałe, a nieumiejętnie robione, więcej szkody, niż korzyści przynoszą. Otóż nie chciałabym kuchni zbyt dużej, najstarsze ustawienie sprzętów według wskazówek „Christin Fréderick“ nie usunie zmęczenia, jeśli przejścia z jednego końca kuchni do drugiego będą zbyt duże, zresztą, my Polki, nie damy się tak łatwo zmechanizować jak podobno amerykańkanki, zajęte raczej obmyślaniem smaku potrawy, nie potrafimy obliczać i oszczędzać zbytecznych ruchów. Sześć do siedmiu kroków wzdłuż i tyleż wszerej zupełnie by mi wystarczyło. Podłoga pokryta płytkami ceramicznymi, łatwo się zmywać dającymi, około stołu, na którym się przyrządza potrawy, około blachy

i około zlewu dywaniki z linoleum, również łatwo oczyścić się dające, to linoleum niezbędne jest przy kamiennej posadzce, gdyż nogi się na niej męczą, a zimą marzną. Ściany w jasnych kolorach, najlepiej w perłowym lub piaskowym, do połowy wysokości olejno malowane. Tak olejno malowane, aby je gąbką z mydłem często zmywać można było. W jednej ścianie duże weneckie okno, dające dużo światła zimą, a dużo powietrza latem. Okno to całe zaciągnięte cynkowaną siatką, aby muchy, komary i inne owady dostępu nie miały. Część dolna okna powinna formować rodzaj głębokiej szuflady, przedzielonej jeszcze półką. Jest to rodzaj zimnej szpiżarni, mogącej służyć wiosną i jesienią do przechowywania zimniejszych produktów i resztek potraw, pozostałych po posiłkach. Latem jest tam za gorąco, zimą za zimno, jednak przez pół roku takie schowanko dostarcza dużo wygód. Obok okna, w ścianie duża szafa, chłodna szpiżarnia, nieprzemarzająca jednak, dobrze zamykana, na różne zapasy, potrzebujące chłodnej temperatury, suchego przechowania, lecz nieznośną mrozu. Pod oknem znów szafka na kartofle, włoszczyznę i tem podobne rzeczy, pozostające w bezpośrednim zarządzie służącej. Przy jednej z bocznych ścian zlew, tak urządzony, aby w bieżącej z kraju wodzie można było zmywać naczynia niezatłuszczone, obok zlewu suszarnia do naczyń. Kuchenka nie-duża gazowa na cztery fajerki z piecykiem.

Obok kuchni, nad zlewem, półki na naczynia kuchenne, haki i haczyki, różne utensylja w rodzaju tarek i zbijaczek, wałków, chochli, szumówek i t. p. Kuchnia gazowa, oprócz piecyka, musi koniecznie być zaopatrzona w aparat do pieczenia „Prodige“, aby zmniejszyć ilość ciast, mięsów i ryb piec na wierzchu blachy, co jest dziś ekonomiczniejsze, niż palenie całego piecyka dla jednej babki, jednej leguminki, lub jednego kilo polędwicy. Obok blachy drzwi na schody, koniecznie podwójne z pozostawioną pomiędzy nimi przestrzenią, gdzieby stał kubełek na śmiecie, wisiały zgodnie szczotki i miotły do zamiatania, szorowania, różne trzepaczki. Między podwójnymi drzwiami powinny się też znajdować półki ze szczotkami i pastami do obuwia, a zewnątrz drzwi ruchome ramięczko do czyszczenia ubrań.

Operacje te wszystkie powinny się odbywać na schodach, nie zanieczyszczając kuchni, przeznaczonej jedynie do przygotowywania jedzenia. Trzecia ściana, wewnętrzna, zamiast bufetu, zabierającego niepotrzebnie miejsce powinna mieć znów szafę, dużą, w głębokości ściany. Ta szafa już ciepła może w połowie służyć za szpiżarnię do konserwów i suchych produktów, w połowie do przechowywania cenniejszych naczyń, każda połowa wobec tego powinna mieć oddzielne zamknięcie. Na drzwiach tej szafy powinny się mieścić: ruchomy stół, zwykle podjęty i płasko przylegający do drzwi szafy, w razie potrzeby opuszczany i także ruchoma deska do prasowania. Po obu stronach szafy lodówka pokojowa i pralnia „Marysia“.

Ostatnią ścianę sobie wyobrażam tak: dwoje drzwi, jedno do pokojów, drugie do pokoju służącej, między nimi duży stół, mocnej, solidnej roboty, z białego drzewa, dającego się dowolnie szorować. Stół z szufladą na noże, widelce i drobne narzędzia, lecz bez półek dolnych, które starannie ochrania draper-

jami przez kucharki tylko za składy śmieci służą. Nad stołem, nie wysoko, dwa rzędy półek malowanych, tak jak i tamte nad zlewem i blachą, jak szafy, stół zapasowy, nogi stołu i stołki, lodówki i „Marysia“, na kolor biały lub odpowiedni do koloru ścian. Na tych półkach w ładnych rzędach rondle i rondelki, najlepiej aluminiowe, między nimi komplet rondli do „wieżowego gotowania“, oszczędzający paliwo. Do tego ze cztery mocne, proste stołki na czterech nogach i jedno krzeselko z oparciem, dla odpoczynku osoby gotującej przeznaczone. Taką kuchnię mieć-bym chciała!

Pani Elżbieta.



SER Z GRUSZEK BEZ CUKRU

Przepis ten dała mi dobra gospodyni, nie próbowałam go sama, daję go więc z zastrzeżeniem, że przed robieniem dużej ilości tego sera, należy go w małej wypróbować.

Słodkie, bardzo dojrzałe, przejrzyste a nawet nieco uległe gruszki przepuścić przez maszynkę, nie obierając i nie usuwając nawet ziarenek. Złożyć tę masę w kocioł i gotować, wciąż mieszając kopystką od dna, aż masa gęstnieć zacznie i nabierze ładnego koloru. Próbować, kładąc łyżeczką na zimnym talerzu, jeżeli zastygła dobrze, — wykladać w głębokie salaterki, miski lub talerze, po zupełnym wystudzeniu wyrzucić na deski i dni kilka jeszcze obsuszać na wietrze. Późem pozawijać w pergamin i przechowywać jak susz jabłeczny. Można dodać, stosownie do własnego gustu, nieco skórki pomarańczowej, goździków, cynamonu lub wanilii.

ZWYKŁE FASZEROWANE POMIDORY

Dziesięć, dwanaście dużych, dojrzałych ale twardych pomidorów obmyć, ściąć im wierzchy. Łyżeczką wyjąć ziarenka, nie naruszając ścianek. (Jeżeli robimy zupełnie pomidorową, można środki wyjęte z pomidorów dodać do duszonych na nią całych pomidorów).

Dwadzieścia deka mięsa z rosółu lub pozostałej od obiadu pieczeni przepuścić przez maszynkę. Cebulę drobno usiekaną przesmażyć w łyżce masła, wsypać na usiekane mięso, przesmażyć, osolic, popieprzyć, wsypać łyżeczkę mąki, rozprowadzić pół szklanką rosółu lub śmietany, zagotować raz jeszcze. Nawpół ostygłym tym farszem nadziać pomidory. Na brytfannie lub patelni rozpuścić łyżkę masła lub świeżego szmalcu, ułożyć na to pomidory, wstawić w piec na dwadzieścia minut, lub smażyć na blasze, przykrywając patelnię pokrywą albo miską przewróconą. Podawać do czystej zupy pomidorowej zamiast paszteków, albo ułożyć na półmisku warstwę z ugotowanego na sypko ryżu, czy tłuczonych kartofli, w środek ułożyć pomidory i podawać jako oddzielne danie, najlepiej na kolację.

Pani Elżbieta.

Dr. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH, KOSMETYCZNYCH I WENERYCZNYCH, WYŁĄCZNIE DLA KOBIEC, OD 5-7.

KRUCZA 31, TELEFON 102 - 77.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Nauczycielce z D. Przepisu specjalnego na wino winogronowe nie znamy i nie mogliśmy dostać ani w Towarzystwie Pomologicznym, ani w innych instytucjach kompetentnych. Powiedziano nam, że zasady wyrobu win z każdego owocu są te same. W tych dniach wydźwie książka inż. Wincentego Tokarza p. t. „Wyrób win i miodów“, z której pani będzie mogła czerpać potrzebne wiadomości. Drożdży winnych wszelkich gatunków dostarczy pani Państwowy Instytut Fermentacyjny, Krakowskie-Przedmieście 66.

Pani Kazimiera Ostachiewiczowa w Żychlinie. Maszynek spirytusowych niedrogich i praktycznych dostarczy pani firma Krzysztof Brun i Syn, Bielańska 2. Niestety w kraju nie mamy ich w dużej rozmaitości, są tylko z regulatorem i bez.

Prenumeratorce z Jarzenia. Kociołków norweskich, bardzo rozpowszechnionych za czasów okupacji niemieckiej, obecnie w Warszawie niema. Gniazda do utrzymywania potraw w ciepłe były już trzy razy opisane w „Bluszczu“. Podajemy je po raz czwarty. Rondel z pokrywą stawia się na gazecie, gazetę tę podnosi do brzegów rondla, stawia na drugą gazetę, podnosi i t. d. aż się uformuje pięć, sześć warstw papieru, mocnym szpagatem szczelnie się osznurowuje wkoło. Powtarza się to samo kilka razy, aby rondel był pokryty 15 — 20 warstwami papieru, (mogą być gazety). W taki sam sposób robi się z papierów pokrywę, głęboko zachodzącą, poczem rondel się wyjmuje i mamy gniazdo gotowe. Potrawy wstawione w takie gniazdo i okryte po wierzchu jeszcze pledem lub kocem, nietylko nie stygną, lecz nawet niedogotowane zupełnie, dochodzą po kilku godzinach.

* * *

Na życzenie wielu czytelniczek wydałiśmy książeczkę p. t. „Haft kolorowy“, która uczy wszystkich ściegów, używanych w modnych haftach i zawiera kilkanaście wzorów naturalnej wielkości w cenie 1 zł. 50 gr. do nabycia w Administracji „Bluszczu“.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Ewelinie. Pielęgnowanie jamy ustnej jest bardzo ważne ze względów zdrowotnych i estetycznych.

Jama ustna jest bramą wejścia wszelkich bakterij zwłaszcza migdałki są ulubionym siedliskiem Dlatego też przy czyszczeniu jamy ustnej konieczne jest płókanie gardła środkami lekko dezynfekcyjnym.

Do płókania ust poleca się wodę utlenioną (1 łyżka na jedną szklankę wody letniej), pozatem bardzo dobry jest eliksir. Do czyszczenia zębów używać należy proszku do zębów lub pasty, wyrabianych bez mydła. Czyścić zęby rano należy pastą — wieczorem suchą szczoteczką i wodą z eliksirem.

Bardzo dobre są szczoteczki Zielińskiego z odpowiednimi przedziałkami na każdy ząb. Nie należy szczoteczką trzeć na prawo i lewo, tylko w kierunku góry i dołu.

Po oczyszczeniu jamy ustnej konieczne jest dobre wypłókanie i oczyszczenie szczoteczki do zębów, by bakterje na niej osadzone oczyścić.

Stokrotce. Na piegi środek wysłałam. Po zastosowaniu na noc zniknąć muszą w ciągu 6 tygodni. Na dzień stosować Mój Krem. Co się tyczy czerwoności nosa bez zobaczenia nie można radzić. Przyczyny mogą być następujące:

- 1) choroby przewodu pokarmowego
- 2) kobiece
- 3) wiek przejściowy
- 4) alkoholizm
- 5) odmrożenie
- 6) zbytńia wrażliwość skóry
- 7) choroby skórne.

Należy leczyć podstawę cierpienia, unikać czarnej kawy, alkoholu, ostrych i g orących potraw. Jako leczenie w przypadkach lżejszych poleca się: okłady przemienne gorące i zimne 10 sek.każdy — 10 okładów zimnych i 10 gorących. Okład z wody z domieszką kwasu taninowego — 10 kropel na litr wody. Na dzień Mój Krem i Mój puder.

Przy uporczywych przypadkach wskazaniem jest leczenie światłem.

Dla blondynki. Rozjaśnianie włosów, gdy ma się ciemne, w naturalny sposób bez farbowania jest niemożliwe. Natomiast

mycie stałe i częste w silnym roztworze rumianku z dodatkiem wody utlenionej łyżkę na litr rumianku daje bardzo dobre rezultaty. Nie wolno dawać więcej utlenionej wody, gdyż jest to środek bardzo silny i niszczący włosy.

Starszej Pani. Na pytanie czy da się poprawić dolegliwość chwiania się zębów, odpowiedzieć można napewno — tak. — Dawniej zęby takie usuwano. Przy obecnym postępie techniki dentystrycznej stosuje się masaży i odpowiednie zastrzyki. Chodzi tylko by zwrócić się jaknajwcześniej do lekarza, by w zarobku chorobe tę przykrą usunąć.

Adres: Dr. Wiśnicka — Dentystka, ul. Mokotowska 19.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 42

942. Suknia ślubna z jedwabiu, przybrana srebrną koronką.
943. Suknia ślubna z crepe georgette, przód plisowany.
944. Suknia ślubna z jedwabiu, góra ze srebrnego tiulu deseniowego, lub prawdziwej koronki.
945. Suknia wełniana ciemno piaskowa przybrana futrem.
946. Suknia z tafty koloru feuille morte, przybrana gipiurą.
947. Sukienka z woalu ponsowego dla dziewczynki sześciolatniej, przybranie czarne.
948. Suknia balowa z różowej tafty haftowana srebrem.
949. Suknia z bolerem z kasha brązowego, kamizelka sukienna koloru bois de rose, przybrana haftem.
950. Kostjum granatowy przybrany fokami.
951. Palto z zamszu brązowego, guziki rogowe.
952. Sukienka wełniana przybrana wypusteczkami dla dziewczynki sześciolatniej.
953. Kostjum z kasha ciemnozielonego przybrany futrem.
954. Palto koloru kreciego przybrane futrem.
955. Modne fasony bielizny dziennej i nocnej.
956. Bluzka z crepe marocain koloru pomidorowego.
957. Bluzka z crepe de chine'u przybrana haftem.
958. Bluzka z welwetu koloru vert bouteille przybrana futrem.
959. Wzór do wyhaftowania na białźnie.
960-961. Narożniki chusteczek.
962. Środek małej serwetki pod filizanki.
963-964-965. Motywy do ozdobienia bielizny.
966. Wzór na kapkę na łóżecko dziecinne, haft richelieu.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących: palto, lub suknia fantazyjna zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dziecinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Wzory, umieszczone w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.